

Jan Tomkowski

Neurotyczni bohaterowie powieści Prusa

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce
literatury polskiej 77/2, 27-63

1986

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

JAN TOMKOWSKI

NEUROTYCZNI BOHATEROWIE POWIEŚCI PRUSA *

„Wszyscy chorujemy na nerwy”

Kiedy przeglądamy wczesną publicystykę twórców obozu pozytywistycznego, drukujących na łamach „młodej prasy”, wyodrębniamy z łatwością kilka stałych kategorii. Należy do nich z całą pewnością pojęcie „zdrowia”. Taki stan rzeczy nie może nas, rzecz jasna, zaskakiwać, skoro fizjologia wywiera w owym okresie przemożny wpływ na socjologię, psychologię i filozofię, a ulubionym określeniem zbiorowości ludzkiej jest słowo „organizm”. Społeczny organizm w wizji pozytywistów powinien być „zdrowy” — aktywny, pełen energii, zwrócony ku przyszłości, funkcjonujący harmonijnie, rozwijający się bez zakłóceń. „Zdrowy” — to znaczy pozbawiony chorób, nie mający nic wspólnego ze stanami „chorobliwymi”, nie posiadający także nałogów. Wydaje się, że ten model dotyczył zarówno społeczeństwa, jak i jednostki. Bodaj częściej niż o „szczęściu”, a już z pewnością częściej niż o „wolności” czy „sprawiedliwości” mówiono właśnie o „zdrowiu”.

Na łamach *Kronik tygodniowych* Prus walczył niejako na dwóch frontach: o zdrowie fizyczne i psychiczne (duchowe) narodu. W ramach kuracji zalecał z jednej strony propagowanie higieny, budowę szpitali, ochronek, sanatoriów, z drugiej — pozytywistyczne lektury, odczyty popularnonaukowe, a później także refleksję religijną. Zdrowie w obydwu sferach aktywności człowieka było zdaniem Prusa wartością nadrzędną.

„Zdrowy” miało niekiedy jeszcze inne znaczenie — człowiek „zdrowy” był po prostu racjonalistą, wierzył w potęgę nauki, wyznawał pozytywizm, głosił kult techniki, ponadto miał być osobą rozważną, nie poddającą się emocjom. Społeczeństwo polskie oceniano surowo, panował w nim — jak twierdzono — klimat stanowczo „niezdrowy”, a może i „chorobliwy”. Prus pisał na ten temat z wyraźnym niepokojem:

* Praca ta jest fragmentem większej całości pt. *Rozterki pozytywistów*, przygotowywanej obecnie do druku.

Mamy energię z rana, a słabniemy ku wieczorowi; jesteśmy optymistami na wiosnę, a pesymistami w jesieni; kiedy nam potrzeba pieniędzy, zachwycamy się kapitalizmem, a kiedy przyjdzie zwracać długi, gardzimy kapitalistami. [...]

Przed wszystkim siły fizyczne mamy mocno podszargane i wszyscy chorujemy na nerwy. [K 13, 72]¹

Motywy „szaleństwa”, „obłądu”, „wariactwa” powraca wielokrotnie w *Kronikach tygodniowych*, pojawiając się w najrozmaitszych kontekstach. Zasygnalizowany wyżej należy raczej do rzadkości, ale wspaniało-myślnie użyte słowo „wszyscy” nie powinno nas wprowadzać w błąd. Chodzi bowiem o częsty w publicystyce Prusa chwyt retoryczny: aby nie zostać posądzonym o nadmiar surowości albo pychy, mówimy czasem „my” zamiast „oni” albo „wszyscy” zamiast „inni”.

W kwestii chorób psychicznych czy — mówiąc bardziej w stylu ducha epoki — „nerwowych”, Prus-felietonista zajmuje dosyć konsekwentne stanowisko. Po pierwsze, występuje w roli propagatora opieki medycznej nad osobami chorymi. Z satysfakcją odnotowuje zatem powstawanie nowych szpitali psychiatrycznych, uznając ten fakt za niewątpliwy dowód postępu. Jednocześnie jego tolerancja w stosunku do samych chorych, sformułowana w jednej z *Kronik*, brzmi nad wyraz nowocześnie:

Krótko mówiąc, ludzie ci, których umysł należy do innego świata, powinni by mieć swój własny świat, a przynajmniej specjalne domy. Tymczasem żyją oni w społeczeństwie, ciężą mu i często ulegają różnym krzywdom, ponieważ... ponieważ nie ma dla nich szpitali. [K 10, 93]

Nie dajmy się zwieść pozorom. Tam, gdzie szaleństwo staje się czymś niebezpiecznie bliskim, Prus przybiera typową postawę obronną. Wygląda to trochę tak, jak gdyby na łamach prasy warszawskiej tłumaczył rozpaczliwie, że obłąd, szaleństwo, nawet załamanie nerwowe są nieszczęściami, które w żaden sposób nie mogą dotyczyć osoby autora. Pragnie przemawiać z pozycji człowieka bezwzględnie „zdrowego”. Z kpina, humorem, ale i złośliwością reaguje na ostre wypowiedzi adwersarzy, zarzucających pisarzowi „zupełne wariactwo” i proponujących mu „osadzenie w Tworkach” (K 12, 230). Dla Prusa szaleństwo tworzy sferę ciemną, zamkniętą, z którą najlepiej nie mieć nic wspólnego, której można przyglądać się, ale z pewnej odległości.

Opozycja „zdrowie”—„choroba” pojawiała się również w sporach politycznych. Listy młodego Prusa, pisane tuż po upadku powstania, stanowią jedyny w swoim rodzaju, wstrząsający dokument ewolucji ideo-

¹ Powołując się na twórczość literacką i publicystyczną B. Prusa stosuję następujące skróty: D = *Dzieci*. W: *Pisma*. Pod redakcją Z. Szweykowskiego. T. 21. Warszawa 1952; E = *Emancypantki*. T. 1—2. Warszawa 1973; K = *Kroniki*. Opracował Z. Szweykowski. T. 1—20. Warszawa 1953—1970; L = *Lalka. Powieść*. Wstępem, przypisami i aneksem opatrzył H. Markiewicz, T. 1—2. Warszawa 1959; SOKP = *Słowo o krytyce pozytywnej*. W: *Pisma*, t. 29 (1950). Pierwsza liczba po skrócie oznacza numer tomu, druga — numer strony.

wej przyszłego powieściopisarza. „Szaleństwem” jest w nich działalność powstańcza, lecz odkrywamy jednocześnie przyczyny — bezpośrednie, niemal intymne — dla których Prus, a także inni pozytywiści tak często będą mówić o „zdrowiu”, dla których zaaplikują choremu społeczeństwu ideologię pozytywistyczną jako program działania i formę psychicznej terapii:

W tej przeszłości, w której mnie poznałeś — już nie ma mnie. Ja, dawny ja, pochowany jestem razem z nadziejami moimi pod Białką, skąd drugi ja wyniósł: dwumiesięczne szaleństwo, zwątpienie w tego rodzaju zabawy i kalectwo, przy którym dziś potrzeba było małego swędu w nocy i małej pół godziny więcej, a list Twój odjechałby *retro*.

Krótko zakończę: mam rozklekotaną głowę, częste mdłości, ataki krwi do mózgu itp. — to dała mi przeszłość².

Z cytowanego fragmentu, a także zamieszczonych w dalszej części listu planów na przyszłość, wynika jasno, że „obłąd”, „choroba”, „szaleństwo” miały pozostać po stronie przeszłości. Teraźniejszość i przyszłość winny być „zdrowe” i „spokojne”.

Nieufny wobec ówczesnych lekarzy, którzy wierzyli w cudowną moc takich metod terapeutycznych, jak hydroterapia, klimatoterapia oraz „mięsienie” (masaż), Prus pragnął uzdrowić „chore” społeczeństwo, stosując zgoła inny lek. Omawiając w grudniu 1888 na łamach „Kuriera Codziennego” broszurę doktora Józefa Starkmana *Choroby nerwowe* wskazywał na rozmaite przyczyny nerwic: pogoń za pieniądzem, niepewność jutra, przepracowanie, kłopoty rodzinne, ale i staropanieństwo, alkoholizm oraz... nadużywanie kawy, herbaty i tytoniu. Społeczeństwo jest zatrute, chore, ten stan dotyczy wszystkich jego warstw (K 11, 263).

Z tekstu wspomnianej wyżej *Kroniki* wyłania się alternatywa: musimy gruntownie zmienić się albo... zachorujemy na nerwy. Możliwość ta odnosi się do ogółu, a także do jednostki, a ilustrują ją najwyraźniej losy bohatera *Lalki*, Stanisława Wokulskiego.

Wokulski neurotyczny

Podejrzewam, że gdyby sytuacja taka była możliwa, wyznawca psychoanalizy³ nie posiadałby się z radości po wizycie pacjenta w rodzaju Wokulskiego. Cóż za satysfakcja spotkać w rzeczywistości (nawet powieściowej) przypadek opisany tak dokładnie w literaturze naukowej!

² A. Głowacki (B. Prus), *Listy*. Opracowała, komentarzem i posłowiem opatrzyła K. Tokarzówna. Pod redakcją Z. Szwejkowskiego. Warszawa 1959, s. 31.

³ W niniejszym szkicu posługuję się terminologią i teoriami neurozy stworzonymi w kręgu neopschoanalizy. Pragnąc uniknąć nadmiaru przypisów informuję, że korzystam głównie z prac K. Horney (*Nerwica a rozwój człowieka. Trudna droga do samorealizacji*). Przełożyła Z. Doroszowa. Warszawa 1978; *Neurotycz-*

Jedno zdarzenie podsumowuje niejako dążenia życiowe Wokulskiego, jeden obraz jest wielką metaforą całej jego biografii. Chodzi o piwnicę, z której trzeba wydostać się o własnych siłach. Oto kluczowa dla powieści scena:

Dziwne było jego pożegnanie ze sklepem; pamiętam to, bo sam po niego przyszedłem. Hopfera ucałował, a następnie zeszedł do piwnicy uściskać Machalskiego, gdzie zatrzymał się kilka minut. Siedząc na krześle w jadalnym pokoju słyszałem jakiś hałas, śmiechy chłopców i gości, ale nie podejrzewał figla.

Naraz (otwór prowadzący do lochu był w tej samej izbie) widzę, że z piwnicy wydobywa się para czerwonych rąk. Ręce te opierają się o podłogę i tuż za nimi ukazuje się głowa Stacha raz i drugi. Goście i chłopcy w śmiech.

— Aha — zawołał jeden stołownik — widzisz, jak trudno bez schodów wyjść z piwnicy? A tobie zachciewa się od razu skoczyć ze sklepu do uniwersytetu!... Wyjdźże, kiedyś taki mądry...

Stach z głębi znów wysunął ręce, znowu chwycił się za krawędź otworu i wydzwignął się do połowy ciała. Myślałem, że mu krew tryśnie z policzków.

— Jak on się wydobywa... Pysnie się wydobywa!... — zawołał drugi stołownik.

Stach zaczął nogą o podłogę i po chwili był już w pokoju. Nie rozgniewał się, ale też nie podał ręki żadnemu koledze, tylko zabrał swój tłomoczek i siedł ku drzwom. [L 1, 599—600]

Zbadajmy nieco bliżej nieprzyjemny incydent w sklepie Hopfera. Powiedzmy od razu, że żart — w dodatku niestosowny do chwili (pożegnanie kolegi) — jest niesmaczny. Jednakże to, co Rzecki uważa za „figiel”, Wokulski traktuje jak wyzwanie. Próby uwolnienia się z pułapki pogłębiają jeszcze humorystyczną wymowę sytuacji. Im bliższy jest Wokulski celowi, tym weselsza staje się atmosfera na górze. Robi się coraz śmieszniej i nie może być inaczej, bowiem w opisanych okolicznościach każdy człowiek jest śmieszny. Problem polega na tym, że jeden z uczestników incydentu nie bawi się zupełnie — Wokulski. Sytuacja zamknięcia wyzwała w nim gwałtowną potrzebę agresji. Taka reakcja bohatera nie może być jeszcze argumentem dla psychoanalityka. Czy jednak nie można było zachować się inaczej, np. odpowiadając na żart żartem? Czy nie było wyjściem „zdrowszym” pozostanie w piwnicy do chwili uwolnienia? Ten sam cel zostałby osiągnięty w tym samym niemal czasie przy użyciu metody bardziej racjonalnej i chyba bezpieczniejszej. Wokulski wyklucza jednak ewentualną pomoc ze strony innych. Odrzuca „innych” po raz drugi, rezygnując z pożegnania. Rzecki wspomina, że Stach „nie rozgniewał się”, ale znaczy to tylko tyle, że nie okazał innym swych prawdziwych uczuć. Podejmując desperacką próbę wydobywania się z piw-

na osobowość naszych czasów. Tłumaczyła H. Grzegółwska. Warszawa 1976; New Ways in Psychoanalysis. New York 1939; Our Inner Conflicts. A Constructive Theory of Neurosis. New York 1948), F. Alexandra (Fundamentals of Psychoanalysis. New York 1948) i H. S. Sullivana (Conceptions of Modern Psychiatry. Washington 1947), w mniejszym stopniu z powszechnie znanych pism Freuda.

nicy demonstrował w sposób dość osobliwy własną niezależność, a poniekąd i wyższość w stosunku do innych. Trochę tak jak gdyby poprzez własne upokorzenie starał się upokorzyć otoczenie. Próba się nie powiodła, uraz pozostał.

Opisana piwnica odgrywa w *Lalce* rzeczywiście kluczową rolę, najważniejszy zaś z całej sceny jest zapewne śmiech stołowników i subiektywów. Ten śmiech sprawia bodaj największą przykrość Wokulskiemu, który także w wielu innych sytuacjach lęka się najbardziej dezaprobaty otoczenia, a szczególnie jego kpin i żartów. Rozwiązania bywają różne, jednym z częściej spotykanych jest pragnienie ujarzmania urojonych albo rzeczywistych wrogów, chęć zemsty. Chodzi nie tylko o to, by wy dostać się z piwnicy, lecz także by zmusić śmiejących się do zamilknięcia.

Pogoń za prestiżem, mozolna wspinaczka po drabinie społecznej zawiera przesłanki sytuacji neurotycznej. Wokulski wydobywa się wciąż z piwnicy, wędruje coraz wyżej, lecz w miarę ciągłego posuwania się ku górze rośnie poczucie zagrożenia. Im później nastąpi upadek, tym gorzej dla pacjenta. W końcu zawsze lepiej spaść z małej wysokości niż ze szczytu.

Neurotyk wybiera zwykle cele nie licząc się z warunkami. W Bułgarii sprzyja Wokulskiemu szczęście. Jednak to, co udało się w obcym kraju, niekoniecznie musi się udać w ojczyistych salonach. Z psychologicznego punktu widzenia marzenia o zadziwiającym wynalazku i o pozyskaniu względów panny Izabeli są tym samym celem. Nikt nie odkrył dotychczas metalu lżejszego od powietrza, nikt nie zdobył także serca pięknej hrabianki. Niepodobna lekceważyć faktu, że w przypadku osobowości neurotycznej cele są zwykle trudne, wręcz nierealne, nieproporcjonalne do możliwości. Wokulski pragnie osiągnąć szczyt, doprowadzić do sytuacji, która oznacza wydobycie się raz na zawsze z Hopferowskiej piwnicy. „Inni” mają zostać na dole, ponieważ Wokulski zdaje sobie sprawę, że na szczycie jest miejsce dla jednego. Szczyt zdobyty razem z innymi jest jak sukces, którym trzeba się dzielić.

Wokulski dobrze znał ludzi i często porównywał się z nimi. Lecz gdziekolwiek był, wszędzie widział się trochę lepszym od innych. [L 1, 346]

Na szczyt prowadzą różne drogi, a jedną z nich wydaje się współpraca z Geistem. Wokulski — brzmi to w pierwszej chwili jak paradoks, ale neurotyk nie dopuszcza wyjątków — chciałby zmierzyć się z Geistem, zwyciężyć Geista. To nieważne, że Paryż widzi w nim szarlatana, skoro człowiek taki jak Wokulski posiada własną skalę wartości. Zwyciężyć Geista można w różny sposób. Najprostszy to dowieść, że jest oszustem. Po wizycie opanowuje Wokulskiego natrętna myśl, że profesor nie ma racji, że prowadzi podejrzaną grę. Kryje się za tym podświadome pragnienie pokonania kolejnego rywala. Wybierając rzekomo

między miłością a poświęceniem dla innych, Wokulski decyduje o wyborze między dwoma neurotycznymi pragnieniami.

Obsesyjne porównywanie siebie dosłownie ze wszystkimi zdradza symptomy neurozy. Racjonalnie rzecz biorąc, nikt nie dorównuje nam samym i my nie dorównujemy innym. Tymczasem Wokulski rozumie kategoriami neurotycznymi: gardzi Starskim, ale w pewnych okolicznościach chciałby stać się taki jak Starski. Rzecz prosta, zestawienia tego rodzaju przynoszą wątpliwą korzyść, pogłębiają nastrój niepewności. Nie możemy zmienić własnej przeszłości ani cofnąć czasu. Z określonego punktu widzenia Wokulski nie dorówna nigdy Starskiemu (i na odwrót) ani nie stanie się młodszy niż Ochocki.

Świat, którym rządzią prawa konkurencji, traci swój urok. Powstaje wrażenie zagęszczenia, braku miejsca. Rzeczywistość otaczająca Wokulskiego jest zbyt ciasna, ale także agresywna, napierająca ze wszystkich stron.

Psychoanalicycy uważają za istotny element nowoczesnej cywilizacji europejskiej kulturę współzawodnictwa, gorączkową potrzebę wyróżnienia się. Pogoń za doskonałością i wyjątkowością rodzi silne napięcia w stosunkach międzyludzkich, jednak mało kto rezygnuje z uczestnictwa w wyścigu. Taką postać spotyka przecież Wokulski w Paryżu: to „marszałek dworu” Jumart.

Na pierwszy rzut oka Jumart przypomina Zeliga, bohatera głośnego filmu Woody Allena. Pod skórą kameleona kryje się mimo wszystko człowiek nadzwyczaj inteligentny, wykształcony, trzeźwy. Jako prawdziwy mędrzec (Jumart to doktor filozofii dwóch uniwersytetów) nie posiada żadnych przesądów ani kompleksów:

I spełniasz pan rolę...

— Służącego?... chciałeś pan powiedzieć — przerwał śmiejąc się Jumart. — Pracuję, panie, aby żyć i zabezpieczyć sobie rentę na starość. A o tytuł nie dbam: tyle ich już miałem!... Świat podobny jest do amatorskiego teatru: więc nieprzewoźnicie jest pchać się w nim do ról pierwszych, a odrzucać podrzędne. Wreszcie, każda rola jest dobra, byle grać ją z artystem i nie brać jej zbyt poważnie. [L 2, 29]

Jumart łączy w sobie cechy myśliciela, menadżera i kontestatora. Ten *outsider* z powieści stworzonej u schyłku ubiegłego stulecia przypomina zdumiewająco pewne wzory zachowań kształtujące się dopiero w połowie XX wieku. Jumart traktuje ludzi z łagodną ironią, nie ma w nim goryczy, wspaniałomyślnie wybacza światu niedoskonałość. Jumart to godna uwagi propozycja innego modelu życia, zakładającego, że właściwy sąd o rzeczywistości osiąga się nie tylko „z góry”, ale również „z boku”. Jumart z pewnością nie wydobywałby się z piwnicy: pozostałby w ciemnościach i, być może, w tych niezwykłych warunkach przyszłaby mu do głowy jakaś oryginalna myśl.

Jumart intryguje Wokulskiego, który jednak nie znajduje żadnych

argumentów przemawiających za postawą rezygnacji. Często ten, kto wycofuje się, a raczej utrzymuje zdobyte już pozycje, ale nie sięga po więcej, ma lepsze samopoczucie od uczestników wyścigu. Nie twierdzę, że „marszałek dworu” i filozof w jednej osobie zasługuje bardziej na nasz szacunek niż Wokulski, ale ma nad nim tę niewątpliwą przewagę, że znalazł swoje miejsce w społeczności, że dzięki swojemu nastawieniu do świata nie musi obawiać się nerwicy.

Czas kreśli niejednokrotnie zadziwiające parabole: w piwnicy Hopfera ujawniły się neurotyczne symptomy zachowania Wokulskiego i również w piwnicy dokonano się swego rodzaju „zarażenie szaleństwem” głównego bohatera. Jeśli przyjąć styl rozważań badaczy z kręgu psychoanalizy, moglibyśmy powiedzieć, że sam Prus był nękany przez głębokie poczucie winy: nie uległ (jak starszy brat, Leon Głowacki) obłędowi, nie pozwolił „zarazić się” obłędem. Co więcej, cała jego publiczna i literacka działalność w okresie postyczniovym zmierzała do wypierania z życia obłędu. A zatem niejako „zdradzał” obłęd, co w sensie symbolicznym może oznaczać „zdradę” brata. Tworząc dzieło artystyczne dokonywał znamienego przesunięcia: zarażający obłędem nosił imię Leon, lecz tym, który poddawał się szaleństwu, był kto inny, postać zastępcza, Wokulski.

Skok z łuków Nowego Zjazdu w sensie psychologicznym nie różni się od wydobywania się z piwnicy. Nawet jeśli spróbujemy złamać zastosowany ze względu na cenzurę szyfr, to i tak nie znikną neurotyczne przesłanki zachowania Wokulskiego. Różnica polega może na tym, że obecnie w „piwnicy” znajdują się jeszcze inni, łatwiej zatem — skoro szanse są wyrównane — wyciągnąć z tej sytuacji jakąś „korzyść”: podziwi i szacunek ze strony mniej odważnych (ale i mniej „szalonych”).

Wspomniane zdarzenie świadczy, że Wokulski zmierza wyraźnie do osiągnięcia stanu dominacji nad otoczeniem. Łatwo dopatrzeć się w tej tendencji reakcji na doznane niegdyś przykrości, kompleksu dawnego chłopca na posyłki⁴. Ekspansja idzie przy tym w różnych kierunkach. Łatwo podporządkować sobie biedaków, trudniej warszawskie salony, jeszcze trudniej — cały świat. Mimo wszystko i ta ostatnia możliwość stanie się prawdopodobna pod warunkiem, że dokona się wynalazku zmieniającego dzieje ludzkości. Zauważmy, że nawet w tak trwałej i czystej przyjaźni Wokulskiego i Rzeckiego pan Stanisław jest zawsze osobą pierwszoplanową. Bodaj żadna z dobrych rad starego subiekta nie wpływa na decyzje przyjaciela. Stałym elementem strategii Wokulskiego jest zaskakiwanie, zadziwianie coraz bardziej zdezorientowanego Rzeckiego, który zresztą może być zaakceptowany jako konkurent pod żadnym względem niegroźny.

⁴ Nie można go jednak uważać za główny rys osobowości Wokulskiego — na ten fakt słusznie zwraca uwagę H. Markiewicz („Lalka” Bolesława Prusa, Warszawa 1967, s. 29).

Wokulski odczuwa nieodpartą pokusę triumfowania, która w przypadku osoby starego subiekta przyjmuje formę najmniej drastyczną. Tajemniczość, skrytość w stosunku do przyjaciela „zastępuje” inne podświadome dążenia, tworzy przecież wrażenie dystansu. W czystszej postaci skłonności neurotyczne biorą górę podczas fundamentalnego dla wyższych warstw narodu sporu: nóż czy widelec. Wokulski prowokuje salon używając noża do jedzenia ryby. Prowokuje, bo potrafi jeść rybę widelcem. Jest to jednak świadoma prowokacja, misterna pułapka obmyślona dla wykazania sobie i innym, kto lepiej zna etykietę, kto — jak powiedziałby Gombrowicz — jest bardziej dystyngowany. Wokulski karci salon z miną człowieka, który wie lepiej, więcej widział, jest lepiej wychowany. Identyczna tonacja brzmi w wielu innych wypowiedziach Wokulskiego, niezależnie od tego, czy dotyczą one obyczajów angielskich lordów, czy oceny kunsztu wirtuozowskiego znanego skrzypka. Pan Stanisław ma zresztą na każdy z tych tematów wyrobione zdanie i niemało do powiedzenia. Rzecz w tym, że angażuje się na ogół z powagą godną lepszej sprawy. Zwróćmy uwagę, że w salonie poglądy, opinie i sądy estetyczne są czymś zmiennym, kapryśnym, ulotnym. Wypowiada się opinię nie po to, żeby wyrazić własny punkt widzenia (którego najczęściej nie ma), ale żeby błysnąć, zaprezentować się możliwie najkorzystniej, dowieść swej oryginalności. Arystokracja bawi się etykietą tak samo jak bawi się operacjami finansowymi czy muzyką. Wokulski jak każdy neurotyk pozbawiony jest kompletnie intencji ludycznej, a także poczucia humoru: spięty, poważny do przesady, niesłuchanie czuły na objawy lekceważenia. Drobiazgi urastają w jego oczach do nienaturalnych rozmiarów, cień neurozy pada na wszystkie kontakty z otoczeniem.

Neurotyczne skierowanie „od”, ku „innym”, cechuje brak przyjemności w obcowaniu z otoczeniem. Z pozoru wszystko jest w porządku: Wokulski zajmuje się działalnością filantropijną, wspomaga ochronki, zapewnia możliwość uczciwego życia upadłym dziewczętom. Powiedzmy jednak otwarcie, że z punktu widzenia psychologii kontaktów międzyludzkich filantropia jest czymś mocno podejrzanym. Cóż warto są miłość, sympatia, uznanie czy szacunek, jeśli kryje się za nimi pieniądze? Każdy akt filantropijny określa z góry charakter więzi między obdarowanym a obdarowującym, więzi opartej na dominacji i podległości. Chodzi tu o typ relacji międzyludzkiej, który najbardziej odpowiada neurotykowi. Ciekawe, że obdarowywanie nie dostarcza Wokulskiemu żadnej radości, co tłumaczy się nastawieniem neurotycznym zmieniającym autentyczne potrzeby w „środku wewnętrznego przymusu” — te pierwsze są stopniowo wypierane przez „psychiczne dyktaty”. Ich przestrzeganie przynosi ulgę (tak jak poczucie spełnienia obowiązku), ale nie radość: satysfakcjonuje, ale nie cieszy. Działalność filantropijna Wokulskiego przebiega w atmosferze emocjonalnego chłodu. Tym, którzy sądzą, że tak być powin-

no, proponuję lekturę fragmentów *Emancypantek*. Widać tam jasno — zwłaszcza na przykładzie Madzi Brzeskiej — że można dawać mniej (w sensie materialnym, „skończonym”), a przecież jakby więcej (w wymiarze duchowym).

Neurotyk odczuwa w każdej chwili potęgę przymusu. Kompulsja tego rodzaju sprawia, że niekiedy doświadcza wrażenia, iż jest sterowany z zewnątrz. Tajemnicze siły manipulują jego osobą, odbierając mu zdolność swobodnego postępowania. Jego lęk przed sytuacjami irracjonalnymi i niemożność ich uniknięcia powoduje, że dopatruje się w nich elementu magicznego. Entuzjasta nauk przyrodniczych, Wokulski, zaczyna w pewnym momencie wierzyć w czary. Przypomina to obsesję: pan Stanisław podejrzewa, że zahipnotyzował go Geist, potem, że został zaczarowany przez Izabelę Łęcką. Co więcej, jego wygląd zewnętrzny, podobnie jak zachowanie, zdradza oznaki „zamagnetyzowania”. W ten sposób widzi go przynajmniej Rzecki:

Rzecki parę razy w życiu widział ludzi zamagnetyzowanych i zdawało mu się, że Wokulski ma taki wyraz fizjonomii, jak gdyby był zamagnetyzowany przez ową lożę [chodzi o lożę, w której siedziała panna Łęcka]. Siedział bez ruchu, jak człowiek śpiący, z szeroko otwartymi oczyma. [L 1, 497]

Naturalnie doświadczenia Ochorowicza w zakresie tzw. „ideoplastii” pozwalają pozytywistom, szczególnie mniej doktrynerskim, na zaakceptowanie hipnotyzmu, magnetyzmu, teorii działania potężnych i tajemniczych sił sugestii. Każde z tych zjawisk może znaleźć swe miejsce w obrębie nauki i takie jest zresztą stanowisko prezentowane w późnej twórczości Prusa. Jednak ani *Lalka*, ani nawet *Emancypantki* nie podejmują obrony hipnotyzmu czy spirytyzmu. Spojrzenie Wokulskiego na te nadzwyczajne fenomeny jest spojrzeniem człowieka, który lęka się czarnej magii. Przypomina się w tym miejscu *Inferno* Strindberga, przedstawiające szczegółowo narodziny owego stanu.

Tego rodzaju tendencja ma charakter rozładowujący, uwalniający, jakkolwiek stanowi wyraźne zafałszowanie rzeczywistego obrazu sytuacji. Argumentacji mitycznej towarzyszy wrażenie utraty tożsamości, wrażenie „zamiany duszy”:

Zdawało mu się, w chwilach świadomości, że na ziemi jeszcze chyba istnieją czarodzieje i że jeden z nich rzucił na niego klątwę. Wtedy mówił z trwogą:

„Ja nie jestem ten sam... Ja robię się jakimś innym człowiekiem... Zdaje mi się, że mi ktoś zamienił duszę!...” [L 1, 377]

Odmianą zachowań neurotycznych zdają się być traktowane z przesadną, „chorobliwą” powagą wroźby i przesady. Zwycięstwo klaczy powinno np. otworzyć drogę do serca panny Łęckiej:

Wokulski wszedł do stajenki i z kwadrans przypatrywał się klaczy. Niepokoiły go jej delikatne nóżki i sam drżał na widok dreszczów przebiegających jej aksamitną skórę, myślał bowiem, że może zachorować. Potem objął ją za szyję, a gdy oparła mu na ramieniu główkę, całował ją i szeptał:

— Gdybyś ty wiedziała, co od ciebie zależy!... gdybyś wiedziała... [L 1, 376]

Otóż w rzeczywistości od zwycięstwa klaczy w warszawskich derbach nie zaley dosłownie nic. To neurotyczna interpretacja świata powoduje, że rzeczywistość okazuje się pełna utajonych sygnałów i ostrzeżeń. W Paryżu, w teatryku na Montmartre słyzy mało wyszukany dowcip: „Kochanek wszystko wybaczy kochance, wyjąwszy drugiego kochanka” (L 2, 38). Na nieszczęście jeden z widzów komentuje to zdanie, sugerując, że czasem trzeba wybaczyć trzech albo czterech. Tutaj dochodzi do głosu chorobliwa imaginacja Wokulskiego: drugi kochanek to Starski, trzeci — Ochocki, czwarty — Rossi. Pierwszym, ale nie wymienionym, jakby pozostającym w cieniu, jest on sam. Ciekawe, że ani tego pierwszego miejsca, ani dalszych nie usprawiedliwia istniejący w danej chwili stan rzeczy. Jednakże i w tym wypadku działa neurotyczny przesąd: obawa, że żartobliwa wypowiedź nieznanego stosuje się do samego pana Stanisława, a cała widownia śmieje się po cichu z jego nieświadomości. Wpada w popłoch, ucieka, mimo że brak racjonalnych motywów dla podobnej reakcji.

Wspomnieliśmy wcześniej, że Wokulski czuje się jak człowiek dotknięty magnetyzmem, magnetyczną siłą przyciągania uznaje zresztą za fundament konstrukcji całej natury (L 2, 105). Także jego postępowanie zdają się określać prawa atrakcji i repulsji. Cechuje go chorobliwa zmienność, charakterystyczna „huśtawka nastrojów”, nieustanne przechodzenie od fazy depresji do fazy gorączkowego podniecenia.

Dwukrotnie następują najgwałtowniejsze ataki depresji, wprawiające neurotyka w stan bliski letargu. Pierwszy poprzedza paryską podróż Wokulskiego, drugi — samobójczą próbę na stacji w Skierniewicach. Obydwa są rezultatem poważnych zakłóceń w „planie życia” Wokulskiego. Za ich neurotycznym charakterem przemawia wyjątkowe natężenie apatii. Wokulski ma wrażenie, że świat rozstępuje się, ale nie znika. Pozostaje pustka, człowiek staje się biernym, pozbawionym duszy mechanizmem. Wrażenie pustki nęka Wokulskiego również w okolicznościach, które na dobrą sprawę nie powinny wywoływać silnego wstrząsu: na przykład po spotkaniu Izabeli w sklepie. Mamy tu jednak najwyraźniej do czynienia z rozładowaniem neurotycznego napięcia. Podczas rozmowy z panną Łęcką Wokulski zachował spokój, stłumił wzburzenie, udał obojętność. Po jej wyjściu zareagował — jak każdy neurotyk — ucieczką. W sensie dosłownym — opuszczeniem sklepu, w metaforycznym — „ucieczką w pustkę”:

Czuł w duszy dziwną pustkę, a na samym jej dnie coś, jak by kroplę piekającej goryczy. Zadnych sił, żadnych pragnień, nic, tylko tę kroplę tak małą, że jej niepodobna dojrzeć, a tak gorzką, że cały świat można by nią zatruć. [L 1, 174]

Uruchomiony został w tym momencie mechanizm obronny: translokacja nieszczęścia, a zarazem pojawia się już podświadome dążenie do zemsty. Kropla goryczy — źródło dotkliwego bólu, tak wielkiego, że

mógłby poruszyć świat. A gdyby używając tej kropli rzeczywiście „zatrucić” świat, który nie spełnił neurotycznych oczekiwań?

Stan depresji, jakiego doświadcza raz po raz Wokulski, charakteryzuje swoiste wyciszenie emocjonalne, paraliż woli, poczucie bezsensu egzystencji⁵. Zdarza się, że objawy te — w mniejszym lub większym stopniu — pojawiają się nagle, bez powodu. Taki przypadek ma miejsce podczas wizyty u państwa Łęckich, bezpośrednio przed omawianą próbą „sprowokowania salonu”. W okresach zwątpienia neurotyk doznaje silnego lęku przed nadchodzącymi zdarzeniami, przyszłość widzi jako groźną, unicestwiającą otchłań.

Głównego bohatera *Lalki* dręczą dwa ambiwalentne uczucia, które wprowadzie miłości nie wykluczają, ale poważnie ją komplikują. Po pierwsze, ma cały czas wrażenie, że jest niegodny Izabeli, a po drugie — podejrzewa, że panna Łęcka nie zasługuje na jego miłość. Każdy psychoanalityk, a chyba i każdy człowiek, zgodziłby się ze stwierdzeniem, że prawdziwa miłość polega na akceptacji zarówno „ja” jak i „ty” — wyjątek stanowią związki sadomasochistyczne, gdzie spotykamy inny typ więzi.

Obydwie sprzeczne oceny znajdują uzasadnienie w teoriach psychiatrów. Nieufność wobec samego siebie przechodzącą niekiedy w pogardę dla własnej osobowości zalicza się do najważniejszych objawów neurozy. Neurotyk, który zmierza do urzeczywistnienia swego urojonego „ja”, poddaje swe zachowanie najdalej idącej kontroli. W każdej chwili doświadcza lęku, że postępuje niewłaściwie. Oto przykład bardzo typowy — reakcja Wokulskiego na zarysowaną podczas rozmowy z Izabelą różnicę zdań w ocenie skrzypka Molinariego:

Głupiec jestem! — pomyślał wychodząc. — Zawsze muszę się wyrwać z czymś, co jej robi przykrość. Jeżeli jest melomanką, może uważać za świętokradztwo moje zdanie o Molinarim...

I przez cały następny dzień gorzko wyrzucał sobie nieznaną sztukę, prostactwo, niedelikatność, a nawet brak szacunku dla panny Izabeli. [L 2, 354]

Neurotyk nie ma nigdy pewności, czy dokonał słusznego wyboru swego życiowego celu. Wokulski zdaje sobie sprawę, że wybierając starania o rękę panny Łęckiej „krzywdzi” innych. W rzeczywistości jest inaczej, nie mówiąc już o tym, że każdy ma prawo do dysponowania własnym majątkiem. Na przeszkodzie do pełnego szczęścia staje znów „wewnętrzny dyktat” — filantropia traktowana jako obowiązek.

⁵ Zob. L. B. Grzeniewski, *Ze snu sen*. „Miesięcznik Literacki” 1974, nr 1. K. Turey (*Bolesław Prus a romantyzm*. Lwów 1937, s. 102—111) dopatrywała się u bohatera *Lalki* objawów „ciężkiej depresji na tle neurotycznym”, zwracając jednocześnie uwagę na pewne zbieżności między psychiką Wokulskiego a stworzonym przez romantyków obrazem „chorej duszy”.

Samoudręka neurotyczna osiąga swój punkt krytyczny w pragnieniu śmierci, poszukiwaniu śmierci. Śmierć jest najskuteczniejszym sposobem unieważnienia ruchu w górę, zaprzeczeniem „wyjścia z piwnicy”. Wokulski chciałby nie tylko umrzeć, chciałby zostać unicestwiony, „starty bez śladu”. Podczas rozmowy z prezesową (L 1, 239), która przebiega zresztą w nastroju wzajemnej życzliwości, Wokulski doznaje wrażenia „dotknięcia śmierci”. Prezesowa podsuwa rozwiązanie irracjonalne: śmierć krąży wokół tych, co stoją nad grobem. Psychoanalitik jednak znalazłby nierównie lepszą odpowiedź. Oto podczas pogodnej konwersacji padło słowo „studnia”. Dla bohatera powieści śmierć to właśnie „wpadnięcie do studni”, zapadanie się pod ziemię. W Łazienkach doznaje silnej pokusy, by popełnić samobójstwo. Tym razem rolę „studni” spełnia parkowa sadzawka, miejsce, do którego powraca się zresztą w *Lalce* kilkakrotnie. Jeśli cel oddala się, a konflikty wydają się nie do usunięcia, neurotyk zaczyna marzyć o zupełnym wycofaniu się: chce zostać pochłonięty niczym rzucony do wody kamień, który tylko na chwilę maści „gładkie zwierciadło wody” (L 2, 481).

Pobyt w Paryżu przynosi Wokulskiemu chwilę wytchnienia, pomimo licznych perypetii wewnętrznych powraca on przejściowo do równowagi. Ustępują napięcia, przybysz z Warszawy „roztapia się” w oceanie ludzkim wypełniającym wielkomięską metropolię. Autodestrukcja, której towarzyszy apokalipsa, to już jakościowo inny rodzaj refleksji na temat śmierci:

Potem marzyło mu się, że to morze domów i las posągów, i nieskończone szeregi drzew zwalają się na niego i że on sam już śpi w niezmiernym grobowcu, samotny, cichy, prawie nieszczęśliwy. Śpi, o niczym nie myśli, o nikim nie pamięta, i tak przespałby wieki, gdyby, ach! nie ta kropla żalu, która leży w nim czy obok niego, tak mała, że jej nie dojrzy ludzkie oko, a tak gorzka, że mogłaby cały świat zatruć. [L 2, 35]

Jak widać, pragnienie samounicestwienia nie jest bynajmniej jednoznaczne. Nastrojowi apatii towarzyszy potrzeba „triumfowania”, tłumione pragnienie odwetu. Kropla — stały motyw w rozważaniach Wokulskiego — symbolizuje ból i cierpienie, ale łatwo ją zmienić w odrobinę śmiertelności eliksiru, który (jak latająca machina Geista) może stać się instrumentem zemsty.

Zastępczą figurą śmierci zdaje się być również spotkanie z sobowtorem (L 2, 12). W całej tradycji europejskiej ta postać odgrywa złowieszczą rolę. Kabaliści powiadają, że w hierarchii ontologicznej nie ma miejsca dla dwóch identycznych bytów. Niekiedy sobowtór działa niby demon: przywłaszcza sobie cudzą osobowość, odbiera energię życiową. Co ciekawsze, zbliżony motyw pojawia się także w *Faraonie* i również tam ukazanie się sobowtóra zapowiada śmierć.

Piszący o *Lalce* dopatrzyli się w zachowaniu Wokulskiego symptomów monomanii. Piotr Chmielowski sądził nawet, że pewną rolę w rozwoju

owej dolegliwości odgrywa czynnik dziedziczności (chory na monomanię ojciec Wokulskiego). Ten sam badacz uznał jednak bohatera powieści za osobę psychicznie zdrową⁶. Wydaje się, że Wokulskiemu grozi nie tyle monomania, co rozproszenie. Chce być dobrym Polakiem i kosmopolitycznym Europejczykiem, kupcem i gwiazdą salonów, kochankiem i filantropem, rozsądnym i szalonym. Ta świadomość działa przygnębiająco:

We mnie jest dwóch ludzi — mówił — jeden zupełnie rozsądny, drugi wariat. Który zaś zwycięży?... Ach, o to się już nie troszczę. [L 1, 439]

Chory na monomanię zachowywałby się inaczej. Bo przecież moglibyśmy wyobrazić sobie miłość większą, wybaczącą wszystko, nawet niefrasobliwą rozmowę w pociągu. Przebaczenie byłoby możliwe pod warunkiem, że psychiką bohatera zawładnęłaby istotnie tylko jedna siła. W przypadku Wokulskiego siły są zawsze co najmniej dwie.

Dzieciństwo i lata młodzieńcze pana Stanisława dostarczają nam klucza do wielu zagadek. Polski psychiatra zwraca uwagę na fakt z punktu widzenia naszego tematu niezwykle istotny:

Należy wreszcie pamiętać o tym, że tęsknota za bliskim i intymnym kontaktem z drugim człowiekiem może być właśnie silniejsza u tych, którzy od początku swego życia tego kontaktu byli pozbawieni. Nie dysponując jednak wzorami emocjonalnego zachowania się, nie znajdują oni drogi do zrealizowania swej tęsknoty za złączeniem się ze światem otaczającym⁷.

Nieprzyjazne środowisko we wczesnym okresie życia bez wątpienia sprzyja neurozie. Z drugiej strony, naturalnym dążeniem człowieka jest poszukiwanie tego, czego sam nie posiada, odnosi się to także do sfery kontaktów międzyludzkich. Niestety Wokulskiego jest brak miłości. Czy oznacza to, że czytelnik *Lalki* ma prawo posądzać go o egoizm? Nie, nie przypuszczam. Istnieje poważna różnica między egoizmem a „nie-dostatkiem miłości”. Powieść Prusa nie opowiada bynajmniej o nieudanych staraniach kupca o rękę pięknej hrabianki. Gdyby tak miało być, *Lalka* w swej warstwie fabularnej przypominałaby jeden z niezliczonych romansów. Przedmiotem marzeń Wokulskiego jest miłość, a zadowolili mogłoby go tylko jakieś ogromne, wszechogarniające uczucie. Domyśla się tego Rzecki opisujący jedno z pozornie błahych zdarzeń w saloniku pani Stawskiej (L 2, 227). Wątpliwe jednak, czy ktokolwiek z bohaterów *Lalki* byłby w stanie zaspokoić neurotyczną potrzebę miłości.

Doktor Szuman, człowiek wykształcony, mimo że chwilami niemożliwie prostacki, powiada, że „miłość to nerwowa choroba” (L 1, 586). Czy ma to znaczyć, że kochając — wszyscy chorujemy na nerwy?

⁶ Zob. P. Chmielowski, *Aleksander Głowacki*. W: *Nasi powieściopisarze. Zarysy literackie*. Seria 2. Warszawa 1895.

⁷ A. Kępiński, *Z psychopatologii życia seksualnego*. Warszawa 1973, s. 27.

Izabela Łęcka jest niewinna

Uprzedzając ewentualne zarzuty, od razu na wstępie pragnę zaznaczyć, że uważam Izabelę Łęcką — oprócz trójki sympatycznych studentów — za „najzdrowszą” bohaterkę *Lalki*. „Najzdrowszą” — to znaczy stosunkowo najmniej zagrożoną neurozą i jej skutkami. Zamieszczenie w niniejszej pracy fragmentu poświęconego tej postaci stanie się, mam nadzieję, zrozumiałe na końcu rozdziału.

Panna Łęcka nie cieszy się w kręgach znawców i czytelników *Lalki* najlepszą opinią⁸. Przesłanki do takiej oceny dał zresztą sam Prus w swej polemice ze Świętochowskim. Przyczyny są oczywiste: pozytywiści, którzy byli na ogół pierwszymi krytykami piszącymi o *Lalce*, pragnęli widzieć w kobiecie samodzielną, utrzymującą się z własnej pracy emancypantkę, a w ostateczności — żonę i matkę. Izabela Łęcka stanowiła klasyczną antytezę zasad kodeksu pozytywistycznego i w imię jego wartości została potępiona.

Przysłowiowy kamień obrazy wykonany był z marmuru i przybrał kształty pięknego młodzieńca:

Raz zobaczyła w pewnej galerii rzeźb posąg Apollina, który na niej zrobił tak silne wrażenie, że kupiła piękną jego kopię i ustawiła w swoim gabinecie. Przypatrywała mu się całymi godzinami, myślała o nim i... kto wie, ile pocałunków ogrzało ręce i nogi marmurowego bóstwa?... I stał się cud: pieszczony przez kochającą kobietę głaz ożył. A kiedy pewnej nocy zapłakana zasnęła, nieśmiertelny zstąpił ze swego piedestału i przyszedł do niej w laurowym wieńcu na głowie, jaśniejący mistycznym blaskiem. [L 1, 128]

Jednakże posądzając Izabelę o dewiację zwaną pigmalionizmem dopuścilibyśmy się zbytńego uproszczenia, a może i błędu. Po pierwsze, rzekomy obiekt zastępczy podlega w wyobraźni panny Łęckiej rozlicznym transformacjom, dzięki czemu nie dochodzi do „alienacji” przedmiotu martwego. Po drugie, osoby dotknięte pigmalionizmem cechuje pozornosc lub kompletny brak normalnych kontaktów z otoczeniem. Obiekt miłości staje się namiastką czegoś rzeczywistego, lecz Apollo spełnia w przypadku Izabeli nieco inną funkcję.

Sam autor nazwał swą bohaterkę „kobietą fizjologicznie zimną” (SOKP, 203)⁹. Trudno mi polemizować, tym bardziej z Prusem, w kwestii tak intymnej. A przecież odnosimy wrażenie, że, jakkolwiek chłodna z natury, panna Izabela nie jest kobietą pozbawioną zdolności emocjonalnego odbioru świata. Dowodem — wzruszenie, co prawda historyczne i w nie najlepszym stylu — podczas koncertu reklamowanego wirtuoza. Fakt, iż nigdy nie była zakochana, trudno traktować jako zarzut. Za

⁸ Co prawda, A. Lange recenzując *Lalkę* („Życie” 1890, nr 38) nazwał Izabelę „miłą i dobrą panienką, zepsutą nieco”.

⁹ Do tej wypowiedzi pisarza nawiązał w pewnym sensie J. Kott (*O „Lalce” Bolesława Prusa*. Warszawa 1949, s. 38—39), nazywając Łęcką — „frygidą”.

to, że nie pokochała Wokulskiego, również winy nie ponosi. Wojciech Bogusławski postawił prawie sto lat temu fundamentalne, a przy tym osobiście zbudowane pytanie: „Z czego właściwie podobać się jej mógł Wokulski?”¹⁰ Nie będę w dalszym ciągu wspierać się argumentacją twórcy rozprawy *Bolesław Prus* ani jej rozwijać, choćby z tego względu, że Wokulski mógł nie podobać się Izabeli bez żadnego powodu. Zresztą, szczerze mówiąc, w całej powieści brak tzw. „prawdziwego mężczyzny”, stąd możliwość selekcji (szczególnie z perspektywy urodzivej hrabianki) jest dość ograniczona. Panna Łęcka byłaby więc nie tyle „kobietą fizjologicznie zimną”, co odpowiednikiem bohatera Kafkowskiego *Głodomora*. Ale nie umrze z głodu ten, kto z braku smacznych potraw zadawała się resztkami ze stołu.

Świat oglądany przez pannę Izabelę przypomina modne niegdyś „żywe obrazy”, jej samej przypada funkcja reżyserska. Istotą życia i najdoskonalszą jego formą jest zabawa. Należy zatem bywać, bawić się, grać, reżyserować. Tę sztukę spędzania wolnego czasu opanowała bohaterka powieści w stopniu niemal doskonałym:

Dwa razy spotkała ją straszna burza, raz w Alpach, drugi — na Morzu Śródziemnym. Truchleli najodważniejsi, ale panna Izabela ze śmiechem przysłuchiwała się łoskotowi druzgotanych skał i trzeszczeniu okrętu, ani przypuszczając możliwości niebezpieczeństwa. Natura urządziła dla niej piękne widowisko z piorunów, kamieni i morskiego odmětu, jak w innym czasie pokazała jej księżyc nad Jeziorem Genewskim albo nad wodospadem Renu rozdarła chmury, które zakrywały słońce. To samo przecie robią co dzień maszyński teatrów i nawet w zdenerwowanych damach nie wywołują obawy. [L 1, 118]

Przyjmowanie teatru za rzeczywistość i widzenie w rzeczywistości jedynie teatru pociąga za sobą głębsze konsekwencje. Bohaterka powieści Prusa oddziela dokładnie to, co naturalne, od tego, co sztuczne. Sądzi, że tylko sztuczne może być naprawdę piękne. Natura pozbawiona śladu ludzkiej ręki odpycha ją, napełnia odrazą. Las wydaje się jej piękny, jeżeli znajdują się w nim ludzie. Bezmyślną i bezładną naturę można akceptować pod warunkiem, że odkryjemy w niej sztuczny ład i symetrię:

Te szeregi sosen to kolumny, tam boczna nawa, a tu wielki ołtarz... Widzi pan, widzi pan... Teraz między konarami pokazało się słońce jak w gotyckim oknie... Co za nadzwyczajna różnorodność widoków! Tu ma pan buduar damski, a te niskie krzaczki to taburety. Nie brak nawet lustra, które zostało po onegdajszym deszczu... A to ulica, prawda?... Trochę krzywa, ale ulica... A tam znowu rynek czy plac... Czy pan widzi to wszystko? [L 2, 178]

Rzeczywistość posiada zawsze jakąś skazę: Wokulski jest kupcem, w dodatku ma czerwone ręce, Molinari nie cieszy się dobrą reputacją, Starski to bawidamek, marszałek — starzec, Ochocki — niezrównoważo-

¹⁰ W. Bogusławski, *Bolesław Prus*. „Biblioteka Warszawska” 1891, t. 1, s. 337.

ny maniak. Ta zdecydowana przewaga „sztuczności” nad „naturalnością” mogłaby niepokoić współczesnego psychoanalityka. Obawa zbyt czarna. Któż z nas, wchodząc w świat sztuki, spoglądając na obrazy, słuchając muzyki, nie miał kiedyś wrażenia, że został przeniesiony do jakiejś innej, lepszej sfery rzeczywistości? To prawda, że świat fantazji panny Izabeli zdradza kiepski gust, że jest często mdły, cukierkowaty, idylliczny, jednak różnice w upodobaniach estetycznych nie stanowią problemu dla psychiatry.

Ciemna, „naturalna” strona życia w równym stopniu przeraża, co i fascynuje Izabelę. Chodzi przy tym nie o neurotyczny lęk, którego tłumienie prowadzi do zaburzeń osobowości — to po prostu arystokratyczny, wprawiający w przyjemne podniecenie dreszczyk. Zachowanie bohaterki pełne jest kaprysów, ale nie dewiacji. Surowy kodeks arystokratyczny wręcz prowokuje, by go przekroczyć. Każdy sposób jest dobry — można np., jak pewna angielska lady, zostać kochanką leśniczego.

Izabela ma skromniejsze wymagania. W ogrodzie zoologicznym nie potrafi oprzeć się pokusie, by pociągnąć tygrysa za ucho. Pragnienie osobliwe, ale nie — nadzwyczajne. Tygrys może ugryźć, to prawda, ale w końcu ten fakt stanowi o różnicy między pociągnięciem za ucho dzikiego tygrysa a domowego królika. Cały incydent (L 1, 163) byłby może niewart baczniejszej uwagi, gdyby nie jedna okoliczność. Tygrys nie podoba się Izabeli, jest odpychający, a zarazem — cóż za paradoks — tak pociągający. Realizując swoje zamierzenie Izabela wykonuje coś absurdalnego, ale i wstydliwego — „zapomina się”.

Wypadek z tygrysem staje się kluczem do nakreślonego przez Prusa obrazu kontaktów Izabeli z Wokulskim. Co prawda — jeśli już pozostajemy w kręgu zoologii — pan Stanisław przypomina częściej starego poczciwego niedźwiedzia, ale w końcu budzi się w nim istotnie tygrys. Pamiętając o incydencie w ogrodzie zoologicznym wyjaśnimy łatwo, dlaczego niekiedy odnosimy wrażenie, że Wokulski podoba się Izabeli. Pierwszą reakcją na widok śpiącego zwierzęcia jest wstręt, pierwszym uczuciem w stosunku do Wokulskiego — pogarda. Otóż wydaje się, że nienawiść, awersja, obojętność stosunkowo łatwo przeobrażają się w głęboką i trwałą miłość, pogarda — chyba nigdy. Trudno uwierzyć, by panna Izabela pokochała „tygrysa”, lecz w jego obecności mogłaby przypuszczać nie „zapomnieć się”. Tak się akurat składa, że panu Stanisławowi zależy zupełnie na czymś innym.

Izabeli Łęckiej nie dręczą żadne halucynacyjne koszmary. Dopóki nie pojawią się wyrzuty sumienia, bawimy się na ogół dobrze. Sygnałem ich istnienia (ściślej mówiąc — rodzenia się) jest szczegółowo opisany przez Prusa niespokojny sen. Jest w nim i podróż powozem, i zielone góry, i ciemny las. Przyjrzyjmy się bardziej interesującej części owego snu-marzenia:

Wtem (powóz ciągle drży i słychać turkot) z głębi jeziora czarnych dymów i białych par wynurza się do pół figury jakiś człowiek. Ma krótko ostrzyżone włosy, śniadą twarz, która przypomina Trostiego, pułkownika strzelców (a może gladiatora z Florencji?), i ogromne czerwone dłonie. Odziany jest w zasmoloną koszulę z rękawami zawiniętymi wyżej łokcia; w lewej ręce, tuż przy piersi, trzyma karty ułożone w wachlarz, w prawej, którą podniósł nad głowę, trzyma jedną kartę, widocznie w tym celu, aby ją rzucić na przód siedzenia powozu. Reszty postaci nie widać pośród dymu.

„Co on robi, ojcz?” — pyta się zalękniona panna Izabela.

„Gra ze mną w pikietę” — odpowiada ojciec, również trzymając w rękach karty. [L 1, 153]

W pierwszej chwili ten sen wydaje się prostą reminiscencją bieżących wypadków. Istotnie, akurat w owym czasie Wokulski obdarowuje hrabiego Łęckiego „przegrywając” do niego w pikietę pewne sumy. Jednakże — jak często w podobnych wypadkach — Prus dodaje drugi, głębszy sens. Trudno bowiem uznać za zwykły splot okoliczności, że bohaterem powieści, który poza uwodzeniem panien i mężatek zajmuje się głównie grą w pikietę, jest Starski (L 2, 121). Teraz łatwiej wytłumaczyć gwałtowny lęk panny Łęckiej. Wokulski to uzurpator, bezprawnie zajmujący miejsce wyznaczone w podświadomości komuś innemu. W dodatku stawka gry może być przeszłość samej Izabeli, Wokulski — dzięki swym możliwościom finansowym — mógłby „wygrać” córkę od ojca.

Tego typu obawy należą raczej do rzadkości. Poprawiając nieco zdanie pana Tomasza Łęckiego z tego samego snu moglibyśmy powiedzieć, że nikt nie jest w stanie skrzywdzić panny Łęckiej. Jej świat wspiera się na mocnych podstawach, przed zamknięciem w sferze fantazji ratuje Izabelę rozsądek, umiar, trzeźwe wyrachowanie i doskonale wyczuwanie proporcji. Niedocenienie Wokulskiego (ale któż uczy się tak szybko języków?) to bodaj jedyny błąd w jej strategii życiowej.

Jeżeli źródłem neurozy są zakłócenia kontaktów jednostki z otoczeniem, to takich motywów brak w przypadku panny Izabeli, która nie pozwala narzucić sobie żadnej obcej roli, ani myśli zmieniać się dla usatysfakcjonowania innych. Nie pragnie być dobrą, szlachetną, pożyteczną. Żadna z dwóch podstawowych tendencji neurotycznych (dążenie do podporządkowania sobie świata albo asekuracyjne podporządkowanie siebie światu) nie stosuje się do bohaterki powieści Prusa. Wydawałoby się, że Izabela dąży do uzyskania przewagi nad innymi. Stwierdzenie takie nie odpowiada prawdzie. Dążenie tego typu byłoby poniżej jej godności i nigdy nie mieściło się w planach panny Łęckiej. Jej dominacja nad otoczeniem nie wynika z mozolnej wspinaczki na szczyt. Rozwijając tę metaforę moglibyśmy powiedzieć, że Izabela mieszka od dawna na szczycie i czuje się tam pewniej niż ktokolwiek inny. Wolno to ująć inaczej: sama Izabela jest „szczytem” i dlatego żadna klęska jej nie grozi. Nawet zubożała i odsunięta od modnych przyjęć hrabianka pozostaje w

swej wewnętrznej (i nie tylko!) hierarchii kimś nieskończenie lepszym niż znajdujący się u szczytu powodzenia Wokulski.

Neuroza wiąże się zwykle z działaniem, aktywną postawą wobec świata. Tymczasem egzystencję Izabeli cechuje faktyczny bezruch, „niewzruszone trwanie”. Brak życiowej ewolucji maskuje zewnętrzna ruchliwość: podróże, wyjazdy, wizyty. Wszędzie, gdzie się znajduje, jest „u siebie”, pomimo niepowodzeń zachowuje dobre samopoczucie. W każdej sytuacji wybiera bezbłędnie rozwiązanie dla siebie najkorzystniejsze. Przykładem — jej stosunek do spraw finansowych. Kiedy Łęckim grozi bankructwo, a Wokulski dokonuje tajemniczych transakcji, panna Izabela, chroni się w niewiedzę, kokieteryjnie tłumacząc sobie i innym, że przecież nie orientuje się w szczegółach tych operacji. Intuicja podpowiada jej coś wręcz przeciwnego, ale wyrzuty sumienia trwają krótko: najwygodniej uwierzyć w mało prawdopodobną legendę, jeżeli zapewnia ona spokój ducha. Fikcja stworzona przez Izabelę okazuje się — by użyć niezręcznego, ale trafnego określenia — niezmiernie „funkcjonalna”.

Izabela mniszka? Czyżby to żart pod adresem eks-narzeczonego? Zarzut, a jednocześnie sygnał, że spełniły się jego życzenia? Bo, prawdę mówiąc, Wokulski — jakkolwiek tłumił w sobie uczucie zazdrości — oczekiwał, że panna Łęcka pozostanie „niezmienna i czysta”. Jak mniszka?

Jestem przekonany, że szczegółowe zbadanie tras ostatnich podróży Ochockiego, Wokulskiego i Łęckiej przynieść może zarys epilogu *Lalki* — jak każdemu „naiwnemu” czytelnikowi powieści także i mnie owego epilogu brakuje (co wynika z nieposkromionej ciekawości, a nie pretensji pod adresem autora). Zaryzykujmy pewną hipotezę. Hipotezy bywają zabawne.

Ostatnia wzmianka o losach Izabeli pochodzi od Ochockiego, który towarzyszył jej podczas wyjazdu. Panna Łęcka wstępuje podobno do klasztoru, ale dlaczego udaje się w tym celu za granicę? Przecież klaszatory o surowej regule, odcinające zakonnice od otoczenia, działają znacznie bliżej. Jeszcze ciekawsza jest reakcja Ochockiego na żart doktora Szumana:

Wyobraź pan sobie — zakończył [Ochocki] — że wstępuje do klasztoru!...

— Panna Izabela?... — zapytał Szuman. — Cóż to, czy ma zamiar nawet Pana Boga kokietować, czy tylko chce po wzruszeniach odpocząć, ażeby pewniejszym krokiem wyjść za mąż?

— Daj jej pan spokój... to dziwna kobieta... — szepnęła Ochocki. [L 2, 574]

Ochocki dotychczas trochę podziwiał, trochę lekcewał swoją kuzynkę. W każdym razie do momentu podróży petersburskiej nie uważał Łęckiej za kobietę „dziwną”. Wręcz przeciwnie, podkreślał właśnie jej typowość (L 2, 551). Na dwóch ostatnich stronicach powieści gadatliwy dotąd Ochocki przeobraża się w prawdziwego sfinksa. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że Ochocki wie znacznie więcej, niż wolno mu powiedzieć,

że wszedł w posiadanie jakiejś tajemnicy — wielce znaczący jest ten szept i chęć natychmiastowej zmiany tematu¹¹. Identyczna reakcja powtarza się, gdy rozmowa schodzi na losy Wokulskiego. Wreszcie — cóż za przedziwny splot przypadków — ostatnie i najkrótsze, możliwie najmniej (a może właśnie najwięcej?) znaczące zdanie *Lalki* brzmi: „O c h o c k i m i l c z a ł” (L 2, 576; podkreśl. J. T.).

Koleją wiedeńską można zajechać w różne miejsca: do klasztoru, ale i do Paryża. Więc cóż? Czyżby cała trójka miała się spotkać w pracowni Geista? W takim razie symboliczna śmierć dla świata (klasztor) byłaby jak najbardziej na miejscu.

Co prawda, na razie nic nie wskazywało na taki obrót sprawy; był za to romans z marszałkiem i spacerzy z inżynierem, a wreszcie spazmy i załamanie nerwowe. Na podstawie materiału, jakim dysponujemy, nie potrafię powiedzieć, czy Izabelę osiągnęła wreszcie zasłużona (!!!) neuroza. Z drugiej strony, jeżeli wszyscy chorujemy na nerwy...

Fantazje starego subiekta

Neuroza, depresja, cierpienie wynikające z niemożności przystosowania się do otoczenia dotyczą często jednostki najszlachetniejsze. Taki jest przypadek Ignacego Rzeckiego, uznawanego jednogłośnie za najsympatyczniejszą postać *Lalki*, a kto wie, czy nie wszystkich w ogóle powieści Prusa.

Pozornie przesłanki neurozy są tu identyczne jak w wypadku Izabeli Łęckiej: tak piękna hrabianka jak i stary subiekt spędzają znaczną część czasu w świecie urojonym, świecie własnych fantazji. O ile jednak panna Łęcka rozróżnia bezbłędnie to, co rzeczywiste, od tego, co „piękne” (czyli — sztuczne), to Rzecki jest owej zdolności w poważnej mierze pozbawiony. W jego wyobraźni świat imaginacyjny i świat realny łączą się w jedną całość, co więcej — ten pierwszy uzyskuje stopniowo przewagę.

Cele Rzeckiego nie są wygórowane: zarówno małżeństwo Wokulskiego z panią Stawską jak i powrót do władzy dawnej dynastii mieści się w granicach prawdopodobieństwa. Historyk lub też ktoś lepiej od starego subiekta zorientowany w sercowych perypetiach Wokulskiego mógłby zgłosić w tym miejscu sprzeciw. Prawdopodobieństwo warunkowane jest jednak stanem wiedzy: Rzecki ocenia bieżące zdarzenia polityczne z pozycji czytelnika gazet, nie najlepiej zna także skryte zamiary swego przyjaciela.

¹¹ H. Życzyński („*Lalka*” Prusa. *Studium syntetyczno-porównawcze*. Lublin 1934, s. 23—25) sugeruje, że Ochocki i Łęcka spotkają się w pracowni Geista, nie widzi tam natomiast miejsca dla Wokulskiego. Turey (*op. cit.*, s. 118) uważa samobójstwo Wokulskiego za psychologicznie mało prawdopodobne. Zob. też uwagi Markiewicza (*op. cit.*, s. 11) dotyczące zakończenia powieści.

Świat fikcji staje się dla neurotyka bezpiecznym azylem. Tutaj uzyskuje on poczucie pewności; styka się z obszarem, nad którym sprawuje pełną kontrolę. Wypowiadanie swych nadziei za pomocą pamiętnika prowadzonego w tajemnicy przed otoczeniem wydaje się również bardziej celowe niż przedstawianie ich innym ludziom. Nie narażamy się wówczas na szyderstwa, śmieszność, brak zrozumienia. W drugim rozdziale powieści odnosimy wrażenie, że ta forma ekspresji zastępuje Rzeckiemu autentyczny kontakt ze światem, co zresztą w początkowej fazie nie jest wcale najgorszym rozwiązaniem:

Dobrowolnie odcięty od natury i ludzi, utopiony w wartkim, ale ciasnym wirze sklepowych interesów, czuł coraz mocniej potrzebę wymiany myśli. A ponieważ jednym nie ufał, inni go nie chcieli słuchać, a Wokulskiego nie było, więc rozmawiał sam z sobą i — w największym sekrecie pisywał pamiętnik. [L 1, 78]

Z czasem pamiętnik — sytuacja typowa dla wielu neurotyków — staje się pułapką¹². Fikcja bierze górę. Autor pamiętnika zaczyna identyfikować siebie z urojonym, wyidealizowanym obrazem. Kolejny etap to kompletnie fałszywa ocena rzeczywistości, której miejsce zajmują urojenia. Szary człowiek przeobraża się nagle w szarą eminencję. Rzecki ma utajone ambicje — jeśli nie może sprawować władzy, chciałby przynajmniej być tym, który wie, który wszystkiego się domyślił, wszystko przewidział. Podejrzewa, że Wokulski kupuje w Paryżu armaty, że pan Łęcki utrzymuje sekretne kontakty ze zwolennikami Napoleona, że Rossi jest w istocie dobrze zakonspirowanym agentem.

Nieco inną funkcję spełniają projekty wyswatania Wokulskiego z panią Stawską. Nie ma wątpliwości, że Rzecki kocha Stawską, ponieważ jednak uważa ewentualny mariaż za nierealny, tłumi swoje uczucia. Wewnętrzne opory sprawiają, że stary subiekt „wzbrania” sobie pani Stawskiej, a pragnąc raz na zawsze usunąć ze swego życia „zakazaną” myśl, planuje jej małżeństwo z Wokulskim. Przyjaciół spełnia w tym „sublimującym” zabiegu poniekąd misję postaci zastępczej. Najbardziej zainteresowanemu powinna wystarczyć świadomość sukcesu, pociecha, iż stał się sprawcą radości dwojga bliskich mu ludzi. Ponadto pamiętajmy, że niekiedy — Prus opisuje to bardzo dyskretnie — Rzecki „utożsamia się” z Wokulskim.

Intryga, dość przejrzysta i raczej naiwna, w której Freud dopatrzyłby się generalnej rozprawy nakazów „*superego*” z dążeniami „*id*”, nie może zapewnić ostatecznego powodzenia. Jej porażka zaskakuje nieprzyjemnie starego subiekta:

Wokulski stanął w sieni i patrząc na rynnę mruknął:

— Phy!... gdybym ją [tj. Stawską] poznał wcześniej, może bym się z nią ożenił.

Usłyszawszy to doznałem dziwnego uczucia: byłem kontent, a jednocześnie jak by mnie kto w serce kołnął.

¹² Zob. Markiewicz, *op. cit.*, s. 52—53.

— A tak, to już się nawet nie ożenisz? — spytałem.

— Kto wie?... — odparł. — Może się i ożenię... Ale nie z nią.

Usłyszawszy zaś to doznałem jeszcze dziwniejszego uczucia: było mi żal, że pani Stawska nie dostanie Stacha za męża, a jednocześnie jak by kto mi zdjął ciężar z piersi. [L 2, 230]

Prawdziwe uczucia pana Ignacego dochodzą do głosu w pamiętniku, lecz wobec otoczenia muszą być one starannie maskowane. Kiedy Wokulski — pół żartem, pół serio — „ofiarowuje” przyjacielowi Stawską, Rzecki uznaje ten pomysł za absurdalny (L 2, 464), wysuwając m.in. jako przeszkodę swój zaawansowany wiek. Wiemy jednak z innych wzmianek, że Rzecki nie czuje się jeszcze tak staro. Systematyczne (choć niezgodne z prawdą) stwierdzenia „nabieram ciała” nie mogą pochodzić z ust człowieka, który uważa się za starca. Wreszcie argument bardziej przekonujący: dość skomplikowany i pełen ukrytej niechęci stosunek do pani Misiewiczowej. Rzecki lęka się posądzenia, iż jest rówieśnikiem starej damy. W topografii saloniku podświadomie widzi zawsze swe miejsce między Heleną a panią Stawską, czyli przydziela sobie rolę „męża” i „ojca”. Dom Stawskiej i sklep Wokulskiego to właściwie jedyne przestrzenie, w których Rzecki utrzymuje normalne kontakty międzyludzkie. We wszystkich innych miejscach jest obcy, nie dopasowany, anachroniczny. Ilustruje to najlepiej scena w teatrze, gdzie otoczenie ujawnia swą agresywność wobec „odmieńca”. Zdajemy sobie jednak sprawę, że akcja *Lalki* rozpoczyna się w momencie, gdy owo „niedopasowanie” jest stanem faktycznym, istniejącym od wielu lat:

Z domu pan Ignacy wychodził rzadko i na krótko i zwykle kręcił się po ulicach, na których mieszkali jego koledzy albo oficjaliści sklepu. Wówczas jego ciemnozielona algierka lub tabaczkowy surdut, popielate spodnie z czarnym lampasem i wypłowiały cylinder, nade wszystko zaś jego nieśmiałe zachowanie się zwracały powszechną uwagę. Pan Ignacy wiedział to i coraz bardziej zniechęcał się do spacerów. Wolał przy świetle kłaść się na łóżku i całymi godzinami patrzeć w swoje zakratowane okna [...]. (L 1, 77—78)

W tym dobrowolnym więzieniu wyobraźnia działa z nieograniczoną siłą. Ucieczka w świat fantazji przynosi chwilowe poczucie bezpieczeństwa i ładu, nie likwiduje jednak zagrożenia, jakie niesie rzeczywistość. Gdyby fikcja Rzeckiego nie konstytuowała jedynej w swoim rodzaju „anty-świata”, wypadki potoczyłyby się zapewne inaczej. Teraz zdarzenia atakują starego subiekta ze wszystkich stron, następuje katastrofa za katastrofą. Rzecki traci punkty oparcia, rozluźniają się więzy łączące go z rzeczywistością zewnętrzną. Znikają „przyjazne” przestrzenie: sklep i dom pani Stawskiej. Niespodziewanie odchodzi Wokulski, zaś eks-subiekt Mraczewski „odbiera” Rzeckiemu ukochaną kobietę. W dodatku ginie tragicznie postać, z którą pan Ignacy czuje się związany jakimś magicznym węzłem: niedoszły Napoleon IV. Chyba dla żadnego z bohaterów *Lalki* los nie okazał się równie okrutny.

Wyjście z depresji jest niemożliwe z powodu świadomości totalnej klęski. Działają ponadto mechanizmy obronne pogłębiające kryzys. Pierwszą reakcją Rzeckiego na doniesienia o śmierci młodego Napoleona jest niedowierzanie, sugestia, że „prasa kłamie”. Kiedy wiadomość mimo wszystko znajduje potwierdzenie, pan Ignacy przestaje czytać gazety i dyskutować o polityce. Odwraca się od rzeczywistości, przekonany, że nie umie ona sprostac jego fikcji. Zapisuje w pamiętniku: „Głupia jest polityka” (L 2, 534). Z neurotycznego punktu widzenia świat wydaje się podejrzany, a zachodzące w nim wypadki przyjmowane są na podobieństwo osobistych porażek.

Rzecki wybiera w każdej chwili między dwiema skrajnościami: albo pełna fikcja, a w konsekwencji neuroza, albo najczarniejszy fatalizm i w konsekwencji depresja. Ten maksymalizm wydaje się z perspektywy psychiatrii wyjątkowo niebezpieczny.

Wprowadzając do *Lalki* drugiego narratora Prus osiągnął bardzo nowoczesną, niejako „labiryntową” konstrukcję swego dzieła. Obok płaszczyzny realnych zdarzeń zbudowana została druga: wypadków „potencjalnych”, ale prawdopodobnych. Pamiętnik starego subiekta ogarnia w zasadzie wszystkie trzy czasy, z tym że jeśli w początkowych fragmentach przeważa retrospekcja, to stopniowo uwaga piszącego skupia się na przyszłości. Dominującą intencją staje się układanie przyszłości, formowanie jej zgodnie z własnymi pragnieniami. Jednak pasjans nie udaje się. Z trzech najważniejszych „proroctw” (L 2, 286) nie spełniło się żadne. Sprawdziła się natomiast pierwsza z zapowiedzi Rzeckiego zawartych w słowach: „umrę albo... ożenię Stacha z panią Stawską” (L 2, 294).

Wspomnieliśmy poprzednio, że pannę Łęcką chroni przed neurozą nastrój ciągłej zabawy i prawie całkowity brak stanów lękowych. Rzecki również bawi się, ale jakże inna to zabawa (L 1, 76—77). W wypadku starego subiekta zabawa spełnia funkcję kompensacyjną. Przynajmniej na chwilę pan Ignacy odzyskuje dzieciństwo, którego smaku nigdy na dobrą sprawę nie poznał. Zauważmy dalej, że ten typ zabawy, jako społecznie nie zaakceptowany, budzi kompleks winy. W sytuacji, gdy nie jesteśmy obserwowani lub gdy słabną mechanizmy samokontroli, dochodzą do głosu utajone tendencje. Rzecki (ta myśl spoczywa gdzieś najgłębiej, wyparta ze sfery świadomości) ma ambicje kierowania innymi. Wypadki powodują jednak, że stary subiekt okazuje się w pewnym momencie — podobnie jak główny bohater *Dzieci*, ale i *Faraona* — dowódcą bez oddziały, królem pozbawionym swego państwa.

Sceptyk powiedziałby, że przecież pan Ignacy zachowuje się na ogół jak człowiek zdrowy, że nie brak mu energii życiowej, a także poczucia humoru. Pamiętajmy jednak, że dowcip starego subiekta to zazwyczaj dowcip „mimo woli”. Nie zawsze ten, kto prowokuje komiczne sytuacje, bawi się równie dobrze jak ich widzowie. Komizm *Lalki* wynika zresztą nierównie częściej z konfrontacji stylu myślenia i stylu bycia pana Igna-

cego z otoczeniem niż z jego spojrzenia na rzeczywistość. Ponadto przez dłuższy czas równowagę duchową pozwala utrzymać prowadzony w tajemnicy przed światem pamiętnik.

Ortodoksyjni freudyści wiedzą, że leczenie polega w dużej mierze na ujawnieniu. Pisanie, oczywiście bezgranicznie szczere, przypomina w pewnym sensie psychoanalityczny seans czy badanie snu. Pamiętnik pozwala wprowadzić pewien ład do rzeczywistości psychicznej pacjenta, ekspresja działa niekiedy jak środek znieczulający ból. Do pewnego okresu pamiętnik ma znaczenie terapeutyczne, jednak z chwilą, gdy zaczyna w niepokojącym tempie „pochłaniać” pacjenta, analityk zaleca zwykle jego odłożenie. W wypadku Rzeckiego pamiętnik sankcjonuje fikcję, a w momencie załamania fikcji — staje się dokumentem obciążającym.

Rzecki — taki obraz przynoszą końcowe partie powieści — „gaśnie” przytłoczony rzeczywistością. Choroba czyni zastraszające postępy, ale też nie widać ze strony pacjenta pragnienia powrotu do zdrowia. Jeśli ktoś czuje się więźniem rzeczywistości, najlepszym sposobem wydaje się jej opuszczenie. Wszyscy chorujemy na nerwy, ale niektóre przypadki są wyjątkowo groźne.

Przypadek panny Brzeskiej, czyli w walce z dyskretnym czarem, jaki roztacza wokół siebie panna Magdalena

Emancypantki, na pierwszy rzut oka powieść pogodna i pełna humoru, należą w rzeczywistości do najbardziej mrocznych i ponurych dzieł Prusa. Spotykamy tu prawdziwą galerię szaleńców, neurotyków, ludzi ogarniętych depresją, rzeczywistych i niedoszłych samobójców. Atmosfera, zarówno w Warszawie jak i na prowincji, jest wyjątkowo „chorośliwa”¹³. Nielatwo wskazać choćby jednego bohatera autentycznie zadowolonego z życia. Najbardziej zrównoważeni są — by posłużyć się terminologią *Najogólniejszych ideałów życiowych* — „spokojni”, ale nie „szczęśliwi”.

Symptomy chorób psychicznych odnajdujemy w zachowaniach głównych bohaterów, a także postaci epizodycznych. Atak apoplektyczny, a następnie głęboka depresja zmienia bieg życia Mielnickiego. Ada Sol-ska podejrzewa u siebie objawy melancholii, spazmy panny Eufemii, samobójstwo Cynadrowskiego będące — jak orzekli lekarze — „skutkiem obłądu”, dopełniają ten posępny obraz. Dodajmy jeszcze jedną postać: obłąkaną babkę profesora iksinowskiej szkoły, przypadek spośród wymienionych najcięższy. Nad wieloma innymi postaciami unosi się widmo obłądu (Zdzisław Brzeski, Sol-ski, panna Cecylia). Czasy są wyjątkowo

¹³ Z. Szweykowski (*Twórczość Bolesława Prusa*, Warszawa 1972, s. 278) uważa jednak środowisko ukazane w *Emancypantkach* za „zdrowsze” aniżeli w *Lalce*.

„chorobliwe”, sprzyjające nerwicom, depresjom, pesymizmowi, samobójstwom. W takich okolicznościach rozwija się neuroza głównej bohaterki powieści, panny Magdaleny Brzeskiej.

Pierwszy rozdział *Emancypantek* nie pozostawia wątpliwości, że Madzia jest osobą pod każdym względem „zdrową”¹⁴, tryskającą energią: „szare oczy, śniada twarz i rozchylone karminowe usta tryskały zdrowiem, energią i wesołością” (E 1, 17). Ten szkicowo nakreślony portret kontrastuje naturalnie z obrazami, jakie spotykamy w końcowych partiach powieści, nie może jednak stanowić dowodu dla psychoanalityka. Neuroza, zwłaszcza utajona i w początkowej fazie rozwoju, niekoniecznie prowadzi do widocznych zmian zewnętrznych. Diagnozę o neurotycznym charakterze osobowości pacjenta wspierają zgoła inne argumenty.

Teoretycznie w przypadku panny Brzeskiej nie powinno dojść do poważniejszych zaburzeń. Kontakty międzyludzkie ułatwia zdecydowana przewaga postawy „od”, brak ambicji dominowania nad innymi, wreszcie coś, co w języku potocznym określa się jako „zgodność”. Dlaczego zatem dzieje się inaczej?

Dotychczasowe odpowiedzi szły na ogół w dwóch możliwych kierunkach. Po pierwsze, obciążano winą egoistyczne, pruderyjne i zacofane otoczenie, którego nieprzychylność musi ostatecznie osobę tak wrażliwą jak Madzia doprowadzić do psychicznego załamania. Druga przyczyna to fatalny splot okoliczności, dla Madzi pod każdym względem niepomysłny. Obydwie interpretacje mają swoje zalety, ale prowadząc nasze rozważania w języku psychoanalizy musimy — nie rozgrzeszając bynajmniej nieprzyjaznego otoczenia — szukać odpowiedzi gdzie indziej. Spróbujmy przenieść część „winy” na samą Madzię.

Dla panny Brzeskiej otoczenie stanowi jedyny punkt odniesienia. Jej osoba nie tylko schodzi na plan dalszy, ale po prostu znika. Ponieważ środowisko odgrywa tak olbrzymią rolę, powinno być doskonałe. Madzia nie dostrzega, że świat jest pełen zła, niegodziwości, nawet zbrodni. Tragiczne antynomie zmieniają się w jej wyobraźni w maleńkie „supełki”, które łatwo rozplątać przy odrobinie cierpliwości. Panna Magdalena bierze na siebie odpowiedzialną misję uszczęśliwiania świata w każdym miejscu i o każdej porze. Łagodzi sprzeczności, koi cierpienia, promieniuje radością. Jednakże ciągle uszczęśliwianie (o czym wie doskonale każdy z nas) staje się na dłuższą metę nużące. Madzia cieszy się w Warszawie i w Iksinowie fatalną reputacją i nie można się temu dziwić.

Życie panny Brzeskiej składa się z serii gwałtownych wybuchów czułości. Kocha wszystko i wszystkich. Darzy sympatią naukowców, fabrykantów, pensjonarki, zakonnice, upadłe dziewczęta. Nasuwa się tu wrażenie jakiegoś emocjonalnego chaosu. Temu, kto tak nierozsądnie gospodaruje cennym kapitałem, grozi nieuchronnie bankructwo.

¹⁴ Dla Szweykowskiego (*op. cit.*, s. 279) Madzia jest „wcieleniem najwyższego stopnia zdrowia”.

Podporządkowanie siebie innym to klasyczny objaw neurozy, przeciwstawny niejako tendencji panowania nad otoczeniem. W zachowaniu panny Magdaleny psychiatra dopatrzyłby się może symptomów psychastenii. Postawa defensywna wobec świata wynika poniekąd z niedojrzałości osobowości, co trudno tłumaczyć wiekiem biologicznym. Usunięcie własnego „ja” sprawia, że neurotyk zostaje w najwyższym stopniu uzależniony od otoczenia. Jego bezpieczeństwo, samopoczucie, wreszcie sens życia określa ocena innych. Aprobata otoczenia staje się ceną, którą jest gotów zapłacić w każdych okolicznościach.

Mimo że psychastenicy są na ogół lubiani przez środowisko, należą do ludzi nieszczęśliwych. Nęka ich ciągły lęk, obawa przed utratą miłości czy sympatii ze strony innych. Nieracjonalny sposób traktowania konfliktów międzyludzkich sprawia, że w sytuacjach konfliktowych biorą całą winę na siebie. Wszystko, co powiedzieliśmy do tej pory, stosuje się również do bohaterki *Emancypantek*. Jeśli nie ma w danej chwili powodu do zmartwień, neurotyk znajduje inne źródło cierpień: np. dawne, zapomniane przez wszystkich błędy, które z punktu widzenia „zdrowego” człowieka nie były zresztą błędami.

I w tej chwili ogarnął ją strach: zrozumiała bowiem, co znaczy logika faktów... Tak, na świecie nic nie ginie, a drobne błędy, nawet zapomniane, z czasem odzywają się i ciężko ważą na życiu. [E 1, 249]

Otoczenie wydaje się psychastenikowi niezwykle atrakcyjne. Największym nieszczęściem, jakie może spotkać człowieka, okazuje się samotność. Co więcej, nawet samotność przypadkowa, „niezawiniona”, traktowana jest jako upokarzająca, mimo że do takiej oceny nic nie uprawnia. Po raz pierwszy tego rodzaju wrażenie ogarnia Madzię jeszcze na pensji pani Latter, w okresie ferii świątecznych. Ówczesne obawy są na tyle uzasadnione, że nie stanowią mocnego argumentu dla naszej tezy (E 1, 110). Drugie doznanie posiada już zabarwienie neurotyczne. Madzia trafia na pensję panny Malinowskiej i prawie natychmiast po pożegnaniu właściciela pensji doświadcza następujących uczuć:

Jakże pragnęła w tej chwili przytulić się do kogo, całować i być całowaną... Gdyby przynajmniej odezwał się do niej kto, gdyby wysłuchał, jak jej w domu było dobrze, a jak dziś tęskno... żeby choć jedno słówko otuchy... Nic, nic!... Po korytarzu cicho biegają ludzie bez głosu; niekiedy chrząka woźny stojący przy schodach; przez otwarte lufcik napływa duszne powietrze, a z daleka na drugiej ulicy gra katarynka...

„O mój pokoiku, mój ogrodzie... moje pola!... Nawet nasz cmentarzyk nie jest tak smutny jak ten dom; nawet mogiła biednego samobójcy nie jest tak pusta jak ten pokój...” — myśli Madzia, z trudnością powstrzymując wybuch płaczu. [E 2, 13]

Otóż w danej chwili nie ma najmniejszych powodów do zamartwiania się. Panna Malinowska ceni i szanuje Madzię, czego dowody otrzymujemy wielokrotnie. Kandydatka na damę klasową przyjęta została może cokolwiek oficjalnie, ale w końcu życzliwie. Tęsknotę za bliskimi można zrozumieć, za Iksinowem — trpchę trudniej. Ale skąd nagła rozpacz tak

nieproporcjonalnie wyolbrzymiona, skąd porównanie domu do cmentarza?

Chodzi naturalnie o reakcję właściwą psychastenii, paniczny wprost strach przed osamotnieniem, który nadaje nieoczekiwane znaczenia sytuacjom normalnym, pozbawionym dwuznaczności. Elementem składowym strategii życiowej neurotyka jest trudna do zaspokojenia potrzeba ciągłego „podobania się”, nieustannego robienia korzystnego wrażenia. Nie znaczy to wcale, że otoczenie dostarcza psychastenikom autentycznej satysfakcji. Właśnie dlatego, że od „innych” tak wiele (a na dobrą sprawę wszystko) zależy, „inni” budzą lęk.

Ponieważ neurotyk jest przekonany o własnej niższości, sądzi, że w swej „normalnej” postaci nie może liczyć na aprobatę otoczenia. Miejsce dotychczasowej osobowości zajmuje wyidealizowane „ja” — istota bez skazy, niezmiennie szlachetna, życzliwa, altruistyczna. Nie da się ukryć, że neurotyczny ideał jest na ogół fałszywy, a z perspektywy analityka — niebezpieczny dla zdrowia psychicznego. Rzeczywiste pragnienia zostają stłumione, ale nie wyparte. Przemiana dokonuje się w atmosferze lęku i przymusu. Jej przejawem jest choćby prawdziwy „przymus” miłości. Madzia w głębi duszy nie darzy sympatią Heleny Norskiej, co zresztą łatwo uzasadnić faktem, że córka pani Latter to osoba antypatyczna, zarozumiała, kapryśna. W życiu spotykamy zawsze ludzi, którzy nas pociągają, i takich, do których — czasem z niejasnych powodów — nie możemy nabrać przekonania. Ten stan rzeczy wydaje się oczywisty. Oczywisty — ale nie dla Madzi, która sądzi, że zasługuje na potępienie właśnie dlatego, iż nie potrafi kogoś pokochać.

Tłumienie pragnień i instynktów osiąga niekiedy rozmiary absurdalne:

„Zapomniano o mnie...” — nagle pomyślała Madzia spostrzegłszy, że jej nikt nie prosi na obiad. [...]

Okropność jej położenia zaostrzał jeszcze smutny fakt, że Madzi — jeść się zachciało.

„Nie mam ambicji!... — myślała z rozpaczą. — Jak można w podobny sposób być głodną?...” [E 2, 15]

Obiad wreszcie podano, a opóźnienie wynikało nie z pomyłki czy lekceważenia, a wręcz przeciwnie — intencji uhonorowania gościa, który zasiadł do stołu razem z właścicielkami pensji. Mechanizm neurotyczny dostarczający niesłusznej interpretacji świata działał jednak i tym razem niezawodnie.

Tłumienie rzeczywistych potrzeb i instynktów teoretycznie powinno obejmować także sferę spraw sercowych panny Magdaleny. Została ona jednak tak zaciemniona przez psychasteniczne urojenia, że trudno uzyskać pełne rozeznanie. Odnosimy wrażenie, że w żywiołowej miłości do wszystkich umyka Madzi uczucie najważniejsze: miłość do jednego. Bohaterkę *Emancypantek* paraliżuje zresztą myśl o wyłączności, posiadaniu

czegoś czy kogoś dla siebie. Nie może pokochać Norskiego ani Solskiego choćby dlatego, że mogłaby swym uczuciem wyrządzić komuś przykrość.

Madzia dobra, szlachetna, życzliwa — i nic więcej? Ależ w takim razie otrzymalibyśmy bohaterkę nieciekawą, mało prawdopodobną, ideał bez jakichkolwiek słabości. Panna Brzeska jest inna, a mówiąc ściślej — bywa inna. Uśmiechnięta emancypantka ukazuje od czasu do czasu „drugą” twarz. Gdzieś w głębi, może nawet w podświadomości dojrzewają ukryte pragnienia, rodzą się konflikty, narasta bunt. Skłonności tego rodzaju ujawnia już reakcja Madzi na spóźniony i dosyć podejrzany powrót Joasi. Zdaje sobie nagle sprawę, że nienawidzi zakochanej w Kazimierzu Norskim dziewczyny. Uczucie to dziwne i nieoczekiwane dla samej bohaterki. Gwałtowne rozbudzenie nienawiści ma zresztą przesłanki o wiele głębsze niż zwykła dziewczęca zazdrość. W tym właśnie momencie — może po raz pierwszy — styka się ona z ciemną sferą instynktu. Jej niepokój wynika z niejasnej świadomości, że w tych regionach łagodność i życzliwość nie na wiele się przydadzą. Z drugiej strony stwierdza z przerażeniem, że działanie owej sfery ma również dla niej samej — Madzi — moc przyciągającą. Wiadomo, że neurotycy unikają zazwyczaj sytuacji niekontrolowanych, wprowadzających ryzyko zachowań nieobliczalnych. Madzia czuje, że nie uda się jej zapanować całkowicie nad instynktem, ale i nie zamierza mu się poddać. W rezultacie następuje wzmocnienie sankcji, wzrost wewnętrznego dyktatu racjonalizującego w niespodziewanej formie głos instynktu (E 1, 386).

W miarę jednolity dotąd obraz bohaterki *Emancypantek* komplikuje się z chwilą, gdy rozpatrujemy jej stosunek do Solskiego. Materiał przedstawiony w powieści upoważnia do różnych hipotez, mamy jednak wrażenie, że Madzia milionera po prostu nie kocha. Ponieważ sądzi, że wyznanie prawdy mogłoby człowiekowi tak „zacnemu” sprawić przykrość, wymyśla kłamstwo. To pierwszy błąd, za którym idą następne. Jest tu neurotyczna intryga, jest — nie zawaham się napisać — zwyczajna nieuczciwość¹⁵. Madzia czuje się winna wobec Solskiego. Aby zrównoważyć ciężar winy, wpada na pomysłowe rozwiązanie: winny jest Solski.

Odmowa jej zapobiegła dalszym upokorzeniom, ale nie zmieniła faktu, że Solski ją lekceważył, i chcąc pokazać Helenie, że o nią nie dba, ją, Madzię, gotów był wybrać za żonę! [...]

Gdyby on ją przeprosił, gdyby choć powiedział: znieważylem panią, ażeby dokuczyć innej kobiecie... przebaczyłaby mu. Miałaby dowód, że jednak w oczach tego człowieka coś znaczy. [E 2, 328]

Jako psychasteniczka Madzia stanowczo woli przebaczać niż przyjmować, dawać, ale nie brać. Propozycja Solskiego — niezależnie od okoliczności zewnętrznych — wprawia ją po prostu w zakłopotanie. Nie zmienia to faktu, że pretensje pod adresem milionera są pozbawione podstaw, a samo to, że się pojawiły, zdaje się świadczyć o bardzo niskiej ocenie

¹⁵ Zob. wypowiedzi Chmielowskiego (op. cit.) i E. Pieścikowskiego („*Emancypantki*” Bolesława Prusa. Warszawa 1970, s. 90—91).

etycznej niedoszęłego narzeczonego. Na marginesie wskaźmy jeszcze jeden szczegół: w związku Madzia—Solski o wiele korzystniej prezentuje się ten ostatni, co jest ewenementem w przypadku obydwójga bohaterów (dotychczas we wszystkich kontaktach z innymi panna Brzeska była „sympatyczniejsza”, w przeciwieństwie do Solskiego).

Nie powinniśmy przecieź w neurotycznej strategii życiowej dopatrywać się wyrachowania. Mechanizm neurotyczny działa po pewnym czasie automatycznie, nawet bezwiednie. Powstaje jednak trudna do rozwikłania antynomia. Z jednej strony, neurotyk oczekuje uznania od swego otoczenia, z drugiej — niezależnie od tego, co się wydarzy — zawsze będzie sądzić, że na uznanie nie zasługuje. Tak wygląda typowe neurotyczne błędne koło, stan rzeczy przekreślający jeśli nie możliwość sukcesu, to z pewnością całą radość, jaką niesie sukces.

Nie we wszystkich sytuacjach mamy powody do zadowolenia, często wahamy się w ocenie swego postępowania, lecz to, co myśli o sobie panna Magdalena, wydaje się po prostu szokujące:

Cóż nadzwyczajnego, że olbrzym jak pan Kazimierz mimochodem rozdeptał serce jakiejś mrówki mającej ludzkie kształty i będącej damą klasową?... To przecieź ona winna, że nie usunęła się z drogi. A jaka bezwstydną Joasia, że ma pretensję do pana Kazimierza!... Gdyby ją, Madzię, spotkał podobny los i pan Kazimierz odsunął się od niej — nie powiedziałaaby ani słówka nikomu, nawet nie zdradziłaby się, że jest nieszczęśliwą. Śmiejąc się wyszłaby z pensji niby to na spacer, śmiejąc się poszłaby w stronę mostu i niby wypadkiem rzuciłaby się w Wisłę. [E 1, 173]

Gdyby cytowany fragment dotyczyć miał osoby całkowicie zdrowej i psychicznie zrównoważonej, skłonni bylibyśmy posądzić autora o przesadę. Skoro jednak odnosi się do psychasteniczki, tego rodzaju samoocena jest z pewnością możliwa.

Najważniejsza postać w pewnym okresie życia Madzi to wspomniany wyżej pan Kazimierz. Wobec niego uległość bohaterki sięga zenitu. Zestawienie własnej osoby z kandydatem na Bismarcka utwierdza Madzię w przekonaniu, że dokonana przez nią surowa samoocena nie mija się z prawdą. Pełen tupetu, uwodzicielski, niezbyt inteligentny, ale bardzo pewny siebie młodzieniec podoba się pannie Brzeskiej. Utrzymując nasze rozważania w przyjętej konwencji możemy powiedzieć, że Norski jest „antyideałem” Madzi.

„Antyideał” reprezentuje na ogół te zalety bądź wady, których pozbawiony jest neurotyk. Jeśli staje się nim postać rzeczywista, ulega ona z reguły daleko idącym transformacjom, redukcjom i retuszom. W jego obecności dotknięty neurozą czuje się istotą nieskończenie gorszą, niekiedy nikczemną. Zagadką pozostaje fakt, iż nie stara się go naśladować. Na przeszkodzie staje, być może, traktowanie różnicy między własną osobą a „neurotycznym idolem” jako otchłani nie do przebycia.

Zaślepienie Madzi osiąga krytyczny punkt w rozmowie z panną Howard. Rozmówczyni panny Brzeskiej ma w tym momencie wszystkie atuty w rękę, góruje nad Magdaleną doświadczeniem. Ponadto Madzia jest „zgodna”, nie sprzeciwia się nikomu, zachowując odmienne zdanie dla siebie. Jednak kiedy panna Howard grozi, że wtajemniczy panią Latter w szczegóły romansu Norskiego z Joasią, Madzia reaguje w sposób zdumiewający:

— Na miłość boską — zawołała Madzia łamiąc ręce — niech pani tego nie robi... Pan Kazimierz?... ależ to plotki...

— Wiem to od Joasi.

— Joasia kłamie!... — odparła Madzia. [E 1, 171]

Stanowcze wypowiedzi Madzi są czystą mistyfikacją, oddają natomiast trafnie intencje bohaterki — obronę „antyideału”, któremu nikt i nic nie powinno zagrozić. Powiedzmy od razu, że zafałszowana interpretacja świata może mieć skutki nieobliczalne. Świat jest pełen zła i — cokolwiek sądziłby o tym Prus — nie usuniemy zła przedstawiając je sobie jako dobro. W tym bodaj jednym jedynym punkcie zgadzam się z adwersarzami panny Magdaleny.

Kazimierz Norski zajmuje stopniowo miejsce, które na początku powieści przypadało pani Latter. Charakterystyczne, że proces ten rozpoczyna się na długo przed jej tragiczną śmiercią. Właścicielka pensji: energiczna, dumna, władcza i zrównoważona, także skupiała w sobie te cechy, których brakowało Madzi. Dwa co najmniej czynniki przesadzają o zmianie ideału — „jakościowej”, nie tylko „personalnej”. Po pierwsze — klęska pani Latter („antyideał” nie może przegrywać). Po drugie — Madzia przejmuje powoli pewne zalety swojej dawnej chlebodawczyni (widać to wyraźnie w Iksinowie). Nie dorównuje jej naturalnie zaradnością i energią życiową, ale nawet minimalne zbliżenie wystarcza, aby prysł czar „neurotycznego idola”.

Neurotyczna mania samooskarżeń sięga tak daleko, że prowadzi do przyjmowania na siebie winy w sytuacjach, gdzie o winie nie może być mowy. Madzia podejrzewa, że zły nastrój pani Latter został spowodowany jej zachowaniem (L 1, 30), że choroba i związane z nią wydatki to także rezultat jej postępowania. Podobnych przykładów znajdziemy na kartach powieści znacznie więcej, poprzestańmy na jednym, który świadczy, że pisząc *Emancypantki* Prus nie zrezygnował z penetrowania stref podświadomości:

Koniec?... Jeszcze nie. Bo otóż ogarnął ją przykry zapach octu. Widać, że zamiast do otchłani spadła w komin, gdzie na dnie znajduje się rozpalona angielska kuchnia, na którą lano ocet.

„Ach, jak to... ach, jak to... ach, jakie to ostre!...” — myślała.

Octu musiało być dużo, ponieważ otoczyły ją ze wszystkich stron gęste obłoki; ocean obłoków, w których pływała wysoko nad miastem. Oczywiście nad miastem, gdyż słychać było dzwony: w uszach, w głowie, w szyi, w piersiach, w rę-

kach i w nogach. Dziwne dzwonięcie!... „To po mnie dzwonią — myślała Madzia. — Ja jestem pani Latter i utopiłam się... Więc pytają mnie żalobnym dzwoniem: po coś ty to zrobiła?... Przecie zostawiłaś dzieci, pensję?...” [E 1, 290]

Identyfikacja z panią Latter to wynik neurotycznego dążenia do przejęcia na siebie odpowiedzialności ciąży na innych. W stanach halucynacyjnych dochodzą do głosu siły rządzące podświadomością. Racjonalna argumentacja usunęłaby lub przynajmniej znacznie osłabiła działanie wyrzutów sumienia. Ażeby w pełni ich doświadczyć, trzeba stać się panią Latter, „popełnić samobójstwo” i zostać potępioną, a w dodatku przeobrazić się w widmo, które nie może opuścić miejsca swego występu. Ostatecznie panna Brzeska opuszcza Iksinów, odjeżdża wyleczona z tyfus, ale nie z neurozy.

Pod nieobecność bohaterki powróćmy na chwilę do jej rodzinnego miasta, by poszukać tam klucza do paru zagadek. Pozornie wszystko jest w jak najlepszym porządku. Psychoanalicy wiedzą jednak dobrze, że w domach pełnych tzw. ciepła rodzinnego występują często czynniki sprzyjające neurozie. Nie inaczej dzieje się w przypadku iksinowskiego domu doktorostwa Brzeskich:

Bo nie ma co tać przed sobą: matka, dość surowa dla dzieci, dla niej zawsze była najsurowszą. Najwięcej kochała Zdzisława, i słusznie: jest to przecież syn. Bardzo lubi Zosię, gdyż Zosia jest najmłodszą. Ale jej, Madzi, matka nigdy bardzo nie lubiła. Nazywała ją upartą i samowolną i zawsze sprzeczała się o nią z nieboszczką babką, dla której znowu Madzia była oczkiem w głowie. [E 1, 387]

Nie jest w tej chwili istotne, czy Madzia trafnie ocenia intencje matki. Ważne, że w stosunkach z nią natyka się na reakcję nie spełniającą oczekiwań. Czuje urojony czy rzeczywisty brak sympatii i miłości, ale winę bierze na siebie. Pochodzący jeszcze z dzieciństwa lęk przed niedocenieniem może powodować w przyszłości gwałtowną potrzebę aprobaty ze strony otoczenia. Kształtują się omówione wcześniej mechanizmy obronne. Próba rekompensaty za brak macierzyńskiej miłości jest także cokolwiek dziwaczna próba „zastąpienia” matki Norskiemu.

Zasygnalizowanego wątku nie wolno lekceważyć, jakkolwiek w dalszym ciągu powieści sam autor stara się go unieważnić. W tomie 3 *Emanypantek*, gdy tendencja przewodnia utworu rysuje się już dostatecznie jasno, Prus usiłuje przedstawić materializm i pesymizm jako główne powody załamania Madzi. Dochodzi wówczas do bezpośredniej ingerencji narratora:

Ada Solska była pewna, że Madzia kocha się w Stefanie i — gniew ją chwycił na brata. Patrząc na Madzię Helena Norska posądzała ją o miłość dla pana Kazimierza, uśmiechała się i mówiła w duchu:

„Cóż to za głupie stworzenie!...”

Zadnej z tych pań nie przyszło na myśl, że nieszczęśliwa miłość nie posiada wyłącznego przywileju do szarpania serc ludzkich i że w człowieku może wybuchnąć niszcząca burza z powodów nie erotycznych, ale raczej metafizycznych... [E 2, 280]

Tego rodzaju interwencja narratorska zdaje się dowodzić braku zaufania do zaprezentowanej wcześniej materii powieściowej¹⁶. Dopowiedzenie okazuje się konieczne dla wzmocnienia tendencji. Bo dotychczas wcale nie mieliśmy pewności, czy o załamaniu nerwowym Madzi decyduje wyłącznie „burza metafizyczna”. Wręcz przeciwnie, skłonni byliśmy widzieć w nim przyczyny o wiele bardziej złożone, narastające od dłuższego czasu. W końcu żeby przejść się materialistycznym wykładem pana Kazimierza, trzeba było najpierw nabrać zaufania do samego wykładowcy.

Obrazy wizji, snów, przywidzeń pojawiają się od czasu do czasu na stronicach *Emancypantek*, mimo że nie spełniają tak wielostronnej funkcji jak w *Lalce*. Nowością są natomiast „barwne” wizje panny Magdaleny, w których kolory i ich przemiany nabierają wartości symbolicznej. Wizje są trzy, z braku miejsca poprzestaniemy na analizie tej najwcześniejszej i chyba najbardziej interesującej:

Wybiła trzecia, kwadrans na czwartą, wpół... Madzia postanawia spać. Lecz im mocniej zamyka oczy, tym wyraźniej widzi przed sobą Joasię w zabłoconej sukni, a w głębi korytarza ciemną figurę pani Latter ze świecą w ręku. Potem kremowa suknia Joasi zrobiła się pomarańczową, a płomień świecy czerwonym; potem ciemna figura pani Latter zrobiła się zieloną, a płomień białym. Potem Joasia, pani Latter i jej świeca posunęły się w górę, jakby na sufit, zaczęły się rozpląwać w nieokreślone plamy, znikły, znowu pokazały się, ale już w innych kolorach, i nareszcie [...]. [E 1, 66]

Naturalnie, barwne aluzje wydają się dość czytelne, ale dopowiedzmy to, co oczywiste, do końca. W opisywanym momencie Madzia, jeszcze życzliwa Joasi, jest przerażona jej spóźnionym powrotem. Przejmując odpowiedzialność za wykroczenie koleżanki, najzupełniej bezpodstawnie obawia się kary w postaci wydalenia z pensji. Jej lęki powodują przekształcanie kolorów, modelują wizję stosownie do oczekiwań. Zabłocona suknia Joasi oznacza zetknięcie ze sferą „ciemną”, „brudną”, sferą grzechu. Panią Latter określa początkowo czerń. Wiemy z innej wizji, że czerń symbolizuje w *Emancypantkach* zadawanie cierpień (E 2, 277—278). Pani Latter byłaby zatem osobą, która wymierzy Joasi karę, „zada cierpienie”. Jednakże suknia Joasi staje się pomarańczowa, czyli „oczyszcza się” ze śladów błota (ślady stają się mniej widoczne?). Płomień świecy, który oddziela obydwie kobiety, także zmienia barwę. Czerwień to kolor miłości, ale także — tu wizja nie jest jednoznaczna — władzy, w świetle zaś innego fragmentu (E 2, 277) czerwień jest znakiem pokory w cierpieniu. Pokora z obu stron zapowiada przebaczenie. Sytuacja wraca do normy (biały płomień świecy).

Madzia Brzeska neurotyczna? psychasteniczna?

¹⁶ Może też być następstwem przeobrażeń pierwotnego pomysłu. Na temat pomyłek i przeoczeń wynikających z ewolucji koncepcji *Emancypantek* pisze obszernie Pieścikowski (op. cit., s. 116—143).

Zdaję sobie sprawę, że czytelników *Emancypantek* podzielić można w miarę dokładnie na sympatyków i przeciwników panny Magdaleny. Myślę, że dokonana w niniejszym tekście analiza nie zadowoli ani jednych, ani drugich. Jest bowiem prawdą, że niektóre metody badawcze przynoszą więcej strat niż pożytku.

Pozostańmy zaczarowani. Przecież i tak wszyscy chorujemy na nerwy!

Ten szaleniec Kazio Świrski

W *Dzieciach* utrata równowagi psychicznej dotyczy nie pojedynczych osób, lecz całego pokolenia ogarniętego rewolucyjnym obłędem. Szaleńcy nie tworzą tu osobnego świata, izolowanego i wzgardzonego przez „zdrowych”. Ich nieposkromiona ekspansja doprowadza do wybuchu zamieszek, staje się przyczyną niezliczonych tragedii. „Zdrowi” — i ten zarzut kieruje Prus pod adresem polskiego społeczeństwa — pozostają bierni, w najlepszym razie usiłują łagodzić skutki katastrofy. Tajna organizacja, przekształcona następnie w powstańczy oddział, składa się w dużej mierze z potencjalnych pacjentów kliniki psychiatrycznej. Na przykład Zając *vel* Zajączkowski, samozwańczy kapitan, przedstawia obraz groźnego dla otoczenia psychopaty. Alkoholika Starcę dręczą stany, które łatwo sklasyfikować jako symptomy pijackiego *delirium*. Ciekawszy od nich Regen przypomina nieco bohatera filmów Hitchcocka, zabijając policmajstra pragnie zabić własny strach przed policmajstrem — strach chorobliwych rozmiarów, który nie pozwala żyć. Jeśli Regen jest klasycznym maniakiem wymagającym natychmiastowej kuracji, to pozostali raczej ulegli demoralizacji i obłędowi odchodząc od normy. Niełatwo odpowiedzieć na pytanie, co przeważa: szaleństwo czy demoralizacja. Myślę, że sam autor uwikłał się w niemożliwą do rozstrzygnięcia antynomię. Chory psychicznie nie ponosi przecież odpowiedzialności za swój stan zdrowia i swoje czyny. Tymczasem u Prusa granica między szaleństwem a dobrowolnym wyborem zła staje się często trudna do uchwycenia.

Marzenia Kazimierza Świrskiego nie są zbyt skomplikowane i dotyczą niemal zawsze jednego tematu:

Świrski poszedł do lasu i znowu utonął w swoich ulubionych marzeniach. Liczba jego fantazyjnych pułków zwiększała się, ich umundurowanie było jeszcze piękniejsze, broń idealnie doskonała, twarze i postawy jeszcze wyraźniejsze. Widział też i siebie samego na pysznym gniadym koniu, który niecierpliwie wyrzucił głowę i posuwając się bokiem, roztrącał konie sztabowych oficerów. [D 121]

Wśród pensjonariuszy zakładów dla umysłowo chorych zdarzają się osobnicy o militarystycznych skłonnościach, ale pamiętajmy, że Kazio ma dopiero 18 lat — tyle samo co panna Magdalena w chwili rozpoczęcia akcji *Emancypantek*. Rzeczywistość stawia zazwyczaj skuteczny opór młodzieńczym fantazjom, lecz inaczej dzieje się w okresie, o którym traktuje ostatnia z ukończonych powieści Prusa. Nadchodzi przecież czas, gdy

„świat wypadnie z zawiasów”, a dziecinne marzenia uzyskają nagle realne podstawy.

Wychowanie, jakie otrzymał Kazimierz, stanowczo sprzyjało neurozie. Dochodzi do tego sieroctwo, problematyczne eksperymenty pedagogiczne stryja-mizantropa, wreszcie kształtowane całymi latami przeświadczenie o wyższości nad innymi. Bohater, pozbawiony partnerskich kontaktów z rówieśnikami, pobiera praktyczne lekcje sztuki rządzenia, komenderowania, dowodzenia innymi. W tych warunkach dochodzi do karykaturalnego wprost rozwoju i usankcjonowania postawy „nad”. Miejsce autentycznej osobowości zajmuje fikcja, umacniana „bohaterskimi” legendami, zabarwiona militarystyczną, a fałszywą mitologią. Stryj odebrał chłopcu dzieciństwo, zamienił rodzinny dom w koszary, uczynił ze swego wychowanka — kadeta. Jednakże do wszystkich wątpliwej wartości „dobrodziejstw” dodał jeszcze jeden dar, który w przyszłości stanie na przeszkodzie karierze „rewolucjonisty” — kodeks.

Cała osobowość Świrskiego pełna jest sprzeczności. Wyidealizowane „ja” nakazuje tłumić miłość do panny Jadwigi (D 125), a całą energię skupić na urzeczywistnieniu nierealnych pragnień. Prus tak skonstruował psychiczny portret swego bohatera, że nawet jego patriotyzm wydaje się sztuczny, a wybór ideologii rewolucyjnej — wręcz przypadkowy. Uczestników tajnego związku w *Dzieciach* cechuje bezgraniczna niefrasobliwość, cała ta konspiracyjna organizacja zdaje się po prostu czekać na sprytnego manipulatora, który doprowadzi do jej zagłady.

Pragnienie dominacji określa też kontakty bohatera-neurotyka z otoczeniem. W tej powieści ma on sytuację ułatwioną, dysponuje bowiem niezawodnym atutem — pieniądzem. Jego ambicje są, rzecz jasna, ogromne: chce być kochany przez chłopów, uwielbiany przez kolegów, podziwiany przez towarzyszy walki. W oddziale partyzanckim dowiaduje się nagle, że jest inny, obcy, ledwie akceptowany przez otoczenie. Jakże symbolicznej wymowy nabiera wybór pseudonimu:

— A jak chce się przezwąć kolega-naczelnik, bo tu każdy ma przezwisko... Bezpieczniej!... Na przykład ja — nazywam się Pogończyk...

— A ja... No, niech będzie Samotnik... — odpowiedział Świrski. [D 170]

Rozpoczęcie walki przynosi nieoczekiwany skutek: Kazimierz zostaje nagle pozbawiony uznania i szacunku środowiska. Linowscy, doktor Dębowski, panna Jadwiga — wszystkie te postacie okazują mu życzliwość, ale neurotycznemu kandydatowi na Napoleona nie może to wystarczyć. Podczas pobytu w Leśniczówce popada w głęboką depresję, nawet podczas spacerów z panną Jadwigą odczuwa przygnębienie. Rzeczywistość staje się „ciemna”, egzystencja przebiega „w mroku” (D 144).

Kryzys psychiczny pogłębiają narastające wyrzuty sumienia. Jak każdy neurotyk, Świrski wyolbrzymia własną odpowiedzialność, mimo że akurat w jego przypadku poczucie winy nie jest pozbawione podstaw.

Rozmiary pogardy dla samego siebie, nieracjonalna argumentacja, a także trudności w obiektywnej ocenie zaistniałej sytuacji wskazują przecież na typowe zachowanie neurotyczne.

Na niewidzialnej ławie oskarżonych Kazimierz dostrzega wyłącznie własną postać, co wiąże się z jego spojrzeniem na mechanizmy rządzące aktualnymi wypadkami. Żałuje wprowadzie tego, co się zdarzyło, ale zachowuje podświadomą satysfakcję, iż to właśnie on okazał się animatorem obecnej sytuacji. Odpowiedzialność ponosi zwykle ten, kto posiada władzę — w chorobliwej wyobraźni Kazia jego władza nie zna granic.

Zimowa sceneria *Dzieci* nasuwa dość konkretne skojarzenia. W poetyckiej i hermetycznej symbolice zima oznaczać może noc, a także zmierzch — zamieranie świata. Jak wiadomo, w pierwszej wersji powieści Prusa nosiła tytuł *Świt*¹⁷, zmieniony później na obecny. Tytuł pierwotny był istotnie nieadekwatny, bo „świtu” w *Dzieciach* nawet nie widać, panuje tu niepodzielnie upiorna, budząca przerażenie noc.

Taką ciemną, „nocną” tonację mają również sny bohatera, jakże odmienne od barwnych wizji Madzi Brzeskiej czy fantazji Wokulskiego. Sam Prus nazywa sny Świrskiego — „bezkolorowymi” (D 143). Prawdziwą obsesją i zarazem udręką staje się dla neurotycznego młodzieńca wciąż powracający obraz rozstępowania się ziemi, usuwania ziemi spod nóg (D 115, 141, 225). Niekiedy przypomina on trzęsienie ziemi, innym razem — załamanie się świata, apokaliptyczną katastrofę. Na końcu powieści sens tej wizji ulega wyraźnej konkretyzacji. Wrażenie utraty gruntu pod nogami powoduje lęk przed powieszeniem.

Nagle przez okno wpadł do celi migotliwy blask. Na dziedzińcu zapalono latarnię, przy której świetle więzień spostrzegł dwa słupy i belkę poprzeczną ze zwieszającymi się sznurami. Za oknem słychać było szmery, stąpania wielu nóg, szamotanie, jęki... Sznur zniżył się... za chwilę podniósł się wyprężony... i przy żółtawym świetle więzień zobaczył — niewielki, szary przedmiot, jakby wierzch ludzkiej głowy nakrytej płóciennym workiem. Przedmiot ten gwałtownie poruszył się kilka razy, a potem — zaczął chwiać się ruchem jednostajnym w prawo... w lewo... [D 229]

Takiego opisu trudno było się spodziewać po autorze *Lalki*, przywodzi on na myśl zupełnie inną, o wiele późniejszą literaturę, np. „winiety” Cabrery Infante. Dodajmy jednak, iż całe zdarzenie jest w planie powieściowym wytworem imaginacji bohatera. Dwa motywy zdają się dominować w tym obrazie: kompletna anonimowość skazańca, który staje się nie tylko człowiekiem bez twarzy, ale wręcz przedmiotem, oraz potraktowanie egzekucji jako kwestii czysto technicznej. Gdyby odpowiednio wypreparować cytowany fragment i pozbawić go usytuowania w kontekście całego utworu, moglibyśmy odnieść wrażenie, że jacyś nieznajomi zakładają pod oknem więźnia... huśtawkę!

¹⁷ Zob. Szwejkowski, *op. cit.*, s. 378. — E. Pieścikowski, „*Dzieci*” *Bolesława Prusa*. Wrocław 1980, s. 116—117.

Wizja egzekucji budzi naszą grozę, cóż dopiero, gdy doznaje jej neurotyczny kandydat na wodza. Świrski nie jest tchórzem, ale możliwość takiej śmierci doprowadza go do rozpacz. Neurotycy są na ogół ludźmi odważnymi, o ile znajdują się w warunkach niejako sprzyjających bohaterstwu. Gotowi są umrzeć spektakularnie, na oczach innych, w atmosferze podziwu i szacunku. Myśl, że mogą zginąć anonimowo — jak przedmiot — przekracza granice ich odporności. W takich warunkach „drugie ja” pana Kazimierza — „ja” tchórzliwe, stłumione, ale mimo wszystko autentyczne szuka możliwości wyjścia z pułapki:

Mieszkańcem więziennej celi właściwie nie był on, Świrski, ale ktoś bardzo bliski jemu, ktoś, kogo jak najdoskonalej odczuwał. Więc czuł, że aresztant ma rozpaczliwy wstręt do więzienia, że aby wyjść stamtąd, rękoma szarpałby mury. Ale wyjść nie było można. Mury za grube, korytarze za długie, drzwi zanadto mocne. Był tylko jeden sposób wyjścia, który więźniowi proponowano, ale na który on zgodzić się nie chciał. [D 229]

Ten sposób to naturalnie denuncjacja¹⁸. Sny i halucynacje Świrskiego krążą teraz wokół jednego obrazu: więzienia, z którego prowadzą dwie drogi, przy czym żadnej z nich nie sposób zaakceptować. W wyobraźni bohater doświadcza zarówno „drogi życia” jak „drogi śmierci” i stwierdza z przerażeniem, że jednak gotów byłby do popełnienia zdrady. Warto podkreślić, iż — przynajmniej w mniemaniu Kazimierza — do zdrady namawia również stryj (list zawierający postulat „złożenia wyjaśnień”).

Więzienie pełni tu funkcję metafory najlepiej określającej sytuację Kazimierza. Całe jego postępowanie, wszystkie niemal decyzje zamykają drogę odwrotu. Warto zauważyć, że w powieści Prusa rzeczywistość pełna jest ukrytych sygnałów, złowieszczych znaków zapowiadających ostateczną katastrofę, znaków zlekceważonych przez Świrskiego (Brydziński, załamanie Linowskiego, dwuznaczna rola prowokatora)¹⁹.

Gdyby ująć jednym zdaniem powieściowe losy Kazia, moglibyśmy powiedzieć, że „leczy się” on z marzeń, popadając jednocześnie w ciężką neurozę. Stosuje przy tym osobliwą zgoła formę terapii, „lek” zdaniem późnego Prusa szczególnie niebezpieczny i gorąco przez pisarza zwalczany. Kazimierz Świrski jest w powieściowej twórczości autora *Lalki* pierwszym i bodaj jedynym alkoholikiem, choć, jak pamiętamy, w krytycznych momentach po alkohol sięga zarówno pani Latter jak i Wokulski. We wszystkich wymienionych przypadkach alkohol ma przynieść znieczulenie. Jest to nie tyle „*vin triste*” opisywany przez Przybyszewskiego, co raczej „środek przeciwbólowy”. Przy końcu powieści pan Kazimierz pije już niemal bez przerwy. Działanie alkoholu — jak każdego narkotyku i każdego leku — w miarę zażywania coraz większej dawki oczywiście słabnie:

¹⁸ Pisze na ten temat Szwejkowski (op. cit., s. 382).

¹⁹ H. Galle (*Prus Bolesław: „Dzieci”*. „Książka” 1910, nr 5) zinterpretował akcję powieści jako ciąg nieporozumień, pomyłek i przeoczeń.

Świrski wypił przed obiadem dwa kieliszki wódki, później około butelki nieosobliwego piwa, a w końcu obiadu tyle przełknął wina, że się nawet ożywił. [D 224]

Od obiadu Świrski czuł nieprzyjemny chłód w całym ciele; teraz począł drżeć, że chwilami zęby mu szczękały. Więc wydobył flaszkę z wódką od proboszcza, odkorkował i — wypił jednym tchem przynajmniej ze szklanek. Wódka była mocna, ale na Świrskim zrobiła wrażenie zimnej wody. Dreszcze nie ustały, tylko zaczęła go palić skóra, a w myślach robiło się coraz jaśniej, tak jasno, że nawet nie odczuwał ciemności wypełniającej stodołę. [D 227]

W ostatnich dniach swego życia bohater zachowuje się histerycznie, jego zachowaniem rządzi strach, może nawet większy aniżeli ten, którego doświadczał Regen. Jest to strach przed śmiercią, ujęciem, denuncjacją, więzieniem. Wszystkie wymienione objawy mają konkretny przedmiot, dotyczą czegoś określonego, co jednak stopniowo traci kształt. Dokonuje się swoista alienacja strachu. Spotęgowany strach przeobraża się w lęk, ale to słowo zbyt słabe. Chodzi bowiem o uczucie, dla którego język niemiecki znajduje wyjątkowo trafne określenie: „*Angst*” — trwoga. Prus do słowa „trwoga” dodaje jeszcze jedno — „bojaźń”. „Bojaźń”, jak sądzę, w znaczeniu biblijnym, choć bez zabarwienia religijnego.

Stan apatii, w jakiej był pogrążony, mógłby nawet wydawać się przyjemnym, gdyby od czasu do czasu nie wybuchała w duszy Kazimierza nagła trwoga. To wiatr silniej dmuchnął, to gałąź zaszeleściła, to może ptak nocny przeleciał i nagle ogarniała chłopaka ogromna bojaźń. Serce uderzało gwałtownie, chciał zrywać się, uciekać... [D 230—231]

Od pewnego momentu życie pana Kazimierza jest życiem w trwodze, czyli jak gdyby egzystencją na krawędzi bytu i niebytu. Dlatego śmierć Świrskiego, opisywana z głęboką ironią²⁰, wydaje się wielkim i kojącym „uciszeniem”. I jest ona zapewne jedynym zwycięstwem Kazimierza: zwycięstwem nad trwogą.

W ostatniej z ukończonych powieści Prusa dwie postacie są „zdrowe”: doktor Dębowski oraz panna Jadwiga. Poglądy obydwójga przywodzą na myśl pozytywizm²¹. Prus — i ten fakt czyni wymowę *Dzieci* niepokojąco jednoznaczną — nie kryje, że szaleństwo grozi przede wszystkim tym, którzy zakwestionowali hasła pozytywistyczne. Nie chodzi już o bojowy pozytywizm z lat sześćdziesiątych, ale zreformowaną i wzbogaconą doktrynę, której główne zasady sformułował pisarz m.in. w *Naszym obecnym położeniu* i w *Najogólniejszych ideałach życiowych*. Jednakże zapewnienia tego rodzaju skłonni jesteśmy traktować powściągliwie. Pozy-

²⁰ Zwraca na to uwagę Pieścikowski („*Dzieci*” *Bolesława Prusa*, s. 112—114).

²¹ W pierwotnej wersji powieści Prus podkreślał znacznie silniej pozytywistyczny rodowód Świrskiego i kończył utwór sceną pogrzebu bohatera, będącą — wedle określenia Pieścikowskiego („*Dzieci*” *Bolesława Prusa*, s. 114) — „apoteozą zasług organicznikowskich i cywilizacyjnych”.

tywizm — jak każda inna filozofia — nie gwarantuje nam *a priori* zdrowia psychicznego i dobrego samopoczucia przez całe życie. *Lalka* i *Emancypantki* świadczą, że Prus o tym wiedział. Ostatecznie bowiem żadna ideologia nie chroni człowieka przed neurozą — wszyscy chorujemy na nerwy.

Pozytywistyczne poszukiwanie prawdy, którego wyrazem jest również wielka powieść realistyczna, ułatwia niezmiernie zadanie badacza. Powieść ujawnia z całą siłą to, o czym rzadko pisano w artykułach publicystycznych czy rozprawach naukowych. Powieściowi bohaterowie Prusa okazują się osobami działającymi w wielu wypadkach irracjonalnie, nękają ich lęki, prześladują koszmary. Zdrowie psychiczne jest tu czymś niesłychanie rzadkim, codzienność pełna jest patologii.

W naszych rozważaniach odwoływaliśmy się często do psychoanalizy, a mówiąc dokładniej — neopsychanalizy. Prace reprezentantów tego nurtu określiły również przyjęte w niniejszym tekście granice „normy” zdrowia psychicznego, choć naturalnie przejście od „zdrowia” do „choroby” jest zazwyczaj ledwie zauważalne. W związku z tą kwestią nasuwa się jeszcze jedna refleksja: człowiek, jakiego pragnęliby widzieć neopsychanalytycy, absolutnie „zdrowy”, skutecznie opierający się neurozie, musiałby działać w świecie pozbawionym wszelkich konfliktów albo też zmierzać do osiągnięcia stanu całkowitej obojętności. Obydwie możliwości wydają się mało prawdopodobne.

Teoretycy pozytywizmu sądzili, że wartości takie, jak „dobro”, „prawda”, „altruizm”, „użyteczność”, „szczęście” i „zdrowie”, należą do jednego szeregu, że są ze sobą niejako powiązane. Teza ta jest z gruntu fałszywa. Niekiedy osoby o bardzo niskim poziomie moralnym i bynajmniej nie „użyteczne” cieszą się doskonałym samopoczuciem, zachowując równowagę psychiczną. Dlatego w naszej, niezupełnie zresztą reprezentatywnej, „piątce” znalazło się miejsce dla Izabeli Łęckiej, bohaterki z punktu widzenia psychoanalizy „zdrowej”, a przecież w ocenie prawie wszystkich czytelników nie dorównującej neurotycznemu Wokulskiemu. Rzecki podobna nam się bardziej niż wyleczony z wszystkich fantazji (i ambicji) doktor Szuman. Psychiczenie odporniejsi bohaterowie *Emancypantek* są zdecydowanie mniej sympatyczni od trapionej nerwicowymi dolegliwościami Madzi Brzeskiej. Trochę inaczej rozkładają się akcenty w *Dzieciach*, gdzie spojrzenie na omawiany problem traci na ostrości.

Szaleńcy i neurotycy mają swe osobne, niepodobne do naszego uniwersum, jednak również „normalny” świat jest przeniknięty szaleństwem. „Wszyscy chorujemy na nerwy”.